Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 75 gr.

W NUMERZE:

Wieś
tygodnik społeczno-literacki

Rok VIII · Warszawa, dn. 2. XII. 1951 r. · Nr 48 (330)

WIERSZE O NOWEJ WSI

JANINA BRZOSTOWSKA

SPÓŁDZIELCY

Trosk niemało!
I życzeń też niemało bywa:
A to dniówki podwyższyć, to znowu ktoś chory...
Wszystkiemu chcą zaradzić myślą niecierpliwą,
Ale nieraz zabraknie rąk do dzieła skorych.

Lecz gdy staną gromadą —
Choćby zwozić żyto —
Zaraz uśmiech ozdobi opalone twarze:
I żarty, i przekpinki dzwonią rozmaite,
I najcichszy się nawet zaśpiewać odważy!

Zawsze raźniej w gromadzie!
Ten, kto się sam smuci,
Smutny jest za dziesięciu. A kto sam tańcuje
Wiadomo: prędko siądzie, bo mu się obróci
Radość przeciw radości — i szczęścia nie czuje!

ZAORANY UGÓR

Wczesna wiosna jeszcze — a już ziemia
Zaniosła się falą zieleni.
Rwie ją traktor na strzępy skib,
Wkrótce ugór w orne pole zmieni.

Odprowadził stąd głęboki rów
Wodę do bliskiej rzeki,
Myślą czajki z nadbrzeżnych łóz
Lot do swojej kolebki.

Idą chłopi od dróg rozstaju
Niosą ziarno na nowy siew.
Każdą grudkę tej ziemi kochają,
Chociaż nieraz siali w nią krew.

WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI

ROZMOWA WIECZOREM

Siedliśmy na snopkach, obok nas sterczy młockarnia
pusta. Już po dniu roboczym i Józek o pracy
opowiada przy żniwach, pola wzrokiem ogarnia
— mówi jak światło założyli S. P. junacy.

Maszyny pomocą — nasze dawne trudów brzemię
na żelazne wzięły barki, praca idzie prościej —
Józka zapał w chłopskich się walkach zrodził o ziemię
twardego dzieciństwa i jasnej teraz młodości.

Omłoty trzeba skończyć — mówi, jeszcze przed deszczem.
Chmurzy się, lecz zdążymy — byś uwierzył opowiem
o swojej wytrwałej brygadzie i żniwach jeszcze.

też niełatwych. Słowa te chwytam jak trzepot powiek
w za wąskiej myśli z trudnością wielką treść pomieszczę,
że piękną jest ziemia, lecz jedynie ważny człowiek.

STANISŁAW PIĘTAK

NAD JEZIOREM W NIEDZIELĘ

Cisza, że nie drgnie ani żagiel —
i płynie w wodzie przejrzystej brzeg,
gdzie leżą w piasku ciała nagie,
gdzie bydło żuje wolno jak w śnie

Ostatnie dni lata. W powietrzu
Faluje zieleni obłoków most.
Ktoś młody szczęście swoje przeczuł
i ludziom o tym śpiewał na głos.

Już czas chyba wracać do domu.
W słońcu opadał brzeziny liść
na twarz dziewczyny pokryjomu,
co z książką pod drzewo przyszła śnić.

Robotnik synka dźwignął na barki.
Radował malca wierzb długi cień.
I inni szli, wiodąc jak arki,
wózki, koszyki... Dogasał dzień.

BOGUSŁAW KOGUT

NA NOCNEJ ZMIANIE

Przodownikom pracy, zatrudnionym przy odbudowie Mostu Uniwersyteckiego w Poznaniu, którzy przyczynili się do przedterminowego wykonania mostu, na święto centralnych dożynek.

Noc nad miastem ciszą zawiśnie,
po dniu strudzonym jak wasze ręce,
wtedy łatwiej spokojnym myślom
przejść
po wskrzeszonym wczoraj przęśle

Nie poznacie mnie, kiedy nocą
z ołówkiem w ręku — przejdę blisko,
odpiszę z tablicy: 200 procent
i poniżej wasze nazwiska.

A u was
świdry w dłoniach dygocą,
czubate stropy piją beton.
— „Czego szukasz przy moście nocą,
zakochany w swym mieście poeto?

Z mostem — mówili — trudna sprawa,
z pół roku potrwa przebudowa —
gdy w sierpniu przystąpiono do naprawy
a tu trzeba — cały od nowa.

— „A no, na dożynki będzie gotów —
powiedziała brać robotnicza
— trzeba święto pracujących chłopów
w naszym mieście — godnie przywitać".

Cóż, dożynki byłyby i bez mostu,
a jednak —
oczy pełne troski.
Ja myślę, że to tak po prostu
rośnie sojusz robotniczo-chłopski.

W mroku oczy lamp się kołyszą,
świdry tną cielska lewarów.
— Pytaliście — po com tu przyszedł?
— Chciałem od was pożyczyć zapału.

Bo widzicie, z budową — jak z wierszem,
żeby czas wykonania skrócić
trzeba normę przekroczyć koniecznie,
jak wy, towarzyszu Przylucki.

wrzesień 1951.

WOJCIECH ŚCIBOR

O WZROST TOWAROWEJ PRODUKCJI WSI

PRZECIĘTNE plony (a w związku z tym i zbiory) zbóż utrzymały się w r. 1951 na poziomie roku zeszłego, zbiory roślin oraz okopowych — nieco poniżej przeciętnej z ostatnich lat trzech, pogłowie bydła nieco wzrosło, pogłowie zaś trzody chlewnej (m. in. z powodu braku pasz) spadło o kilkanaście procent — oto bilans rolnictwa w r. 1951.



Foto WAF

Takie wyniki produkcyjne w czasach przedwojennych ekonomiści i politycy burżuazyjni uważaliby z pewnością za zgoła przeciętne, skoro w latach 1931 — 1933, kiedy pogłowie trzody chlewnej spadło o 20 proc. (a ceny za kg. żywca płacono rolnikom z 1.04 zł. na 87 groszy), skoro w latach np. 1933 — 1934, kiedy to zbiory zbóż chlebowych spadły w Polsce o prawie 1 milion ton, nie bili na alarm i nie wyczuwali żadnej obawy o wyżywienie miast.

Wiedzieli bowiem, że w warunkach ustroju kapitalistycznego większość małorolnych i część nawet średniorolnych chłopów, **musi** sprzedawać płody rolne, nawet kosztem zaciskania pasa, obniżając spożycie własnej rodziny do minimum. Oto co np. wykazały badania przeprowadzone w r. 1935 przez J. Michałowskiego w pow. rzeszowskim: „chleb konsumowany powszechnie na jesieni, w przeważającej większości gospodarstw małorolnych od nowego roku jest rzadkością. Mleko pełne, nieodtłuszczone spożywane jest we własnym gospodarstwie tylko w warunkach wyjątkowych. Jaja w gospodarstwach przeznaczone są wyłącznie na sprzedaż. Mięsa nie spożywają wcale..."

A że przy spadku produkcji globalnej (zbiorów i pogłowia) produkcja towarowa wsi nabierała charakteru sprzedaży odjętych od ust nadwyżek (słusznie nazwanych nadwyżkami głodowymi), cóż to obchodziło polityków i rząd przedwojenny, oni byli od tego, aby pilnować tylko interesów kapitalistów i obszarników, a nie interesów mas pracujących.

Dlaczego dziś niewielki w sumie spadek globalnej produkcji rolnej, spowodował o wiele znaczniejszy spadek towarowej produkcji wsi, dlaczego podjąć trzeba było cały szereg zarządzeń nadzwyczajnych o charakterze przejściowym (jak np. obowiązek sprzedaży części zbiorów ziemniaków, aby zabezpieczyć aprowizację miast?

Na ten spadek towarowości gospodarstw rolnych w r. 1951 złożyło się wiele przyczyn, narastających już od dłuższego czasu.

Od pewnego już czasu produkcja rolna w Polsce nie nadąża (głównie wskutek zacofanych metod gospodarowania na roli) za rozwojem przemysłu, wzrostem zatrudnienia, funduszu płac i siły nabywczej ludności pracującej w mieście i na wsi. Niepomyślne warunki atmosferyczne (jesienna posucha) jedynie obnażyła wyraźniej to trwające od dłuższego już czasu opóźnianie się rolnictwa w stosunku do całości gospodarki narodowej.

Sprzedaż przez wieś nadwyżek towarowych nie wynika już dziś w Polsce Ludowej z ograniczania spożycia własnego wsi, przeciwnie, obserwujemy wyraźnie, jak dzięki konsekwentnej i dalekowzrocznej polityce władzy ludowej z roku na rok rośnie spożycie własne wsi, osiągając np. w r. 1950 w pszenicy stan o 21 proc., w życie o 10 proc., w mięsie o 30 proc. wyższy od stanu przedwojennego. To spożycie stale wzrasta (nieraz szybciej niż wzrost produkcji rolnej), zmniejszając w wypadku słabszych zbiorów pulę nadwyżek towarowych przeznaczonych na wyżywienie miast.

Jeśli uspołeczniony handel jest mocnym kołem napędowym produkcji, to handel spekulacyjny działa bezpośrednio (np. kierowanie na czarny rynek cieląt zdatnych do hodowli, niedotuczonych sztuk trzody chlewnej lub macior) i pośrednio (anarchia na rynku cen) hamująco na wzrost produkcji rolnej i odbija się prędzej lub później i na towarowej produkcji zwłaszcza drobnych i średnich gospodarstw.

Jedynie prawidłową politycznie i ekonomicznie drogą wyjścia z tych trudności jest troska o stworzenie warunków dla szybkiego wzrostu globalnej, a jeszcze szybszego wzrostu produkcji towarowej rolnictwa, wyprzedzającej stały i pożądany wzrost spożycia wsi oraz energiczna walka z czarnym, spekulacyjnym rynkiem, bez naruszenia, rzecz jasna, możliwości bezpośredniej sprzedaży przez chłopów płodów rolnych po cenach wolnorynkowych na rynku lokalnym, po wypełnieniu przez nich obowiązków określonych ustawami.

Ciekawe światło na potrzebę wytężonej i planowej walki o wzrost towarowości gospodarstw rolnych rzuca analiza przemian w układzie sił klasowych i w strukturze zawodowej ludności wsi, jakie zaszły już w dwóch pierwszych latach Planu 6-letniego w porównaniu z okresem przedwojennym.

1. **Bezrolni chłopi.** Stanowili oni przed wojną olbrzymią kilkumilionową masę proletariatu wiejskiego, główny rezerwuar tanich i wyzyskiwanych przez obszarników i kułaków sił roboczych. Dużą z nich część stanowili rzemieślnicy i półrzemieślnicy wiejscy i małomiasteczkowi (kowale, stelmachy, murarze, cieśle, kołodzieje, rymarze, piekarze itp.), oddający cenne usługi drobnym i średnim gospodarstwom chłopskim, usługi mające bezpośredni lub pośredni związek z produkcją rolną (budownictwo, wyrób i naprawa wozów, uprzęży i drobnych narzędzi rolniczych itp.).

W sytuacji i zajęciach tego najuboższego, dręczonego przed wojną nędzą, proletariatu wiejskiego zaszły olbrzymie przemiany w Polsce Ludowej.

163 tys. rodzin chłopów bezrolnych i robotników folwarcznych otrzymało ziemię z reformy rolnej na ziemiach starych, co najmniej drugie tyle — osiedliło się po wsiach i miastach ziem odzyskanych, poważną część (przeszło 300 tys. osób) zatrudniają PGR i Lasy Państwowe, setki tysięcy dawnych bezrolnych „wypompował" ze wsi w coraz szybszym tempie rozwijający się przemysł, resztę wchłaniają tak szybko rosnące POM-y, SOM-y, handel uspołeczniony (zatrudniający dziś na wsi 182 tys. osób) oraz terenowe rady narodowe.

Odpłynęła zwłaszcza do zawodów pozarolniczych ogromna większość dawnych rzemieślników wiejskich, a powstałą przez to pustkę na wsi zaczynają dopiero wypełniać powstające po gminach wiejskich i miasteczkach rzemieślnicze spółdzielnie usługowe dla obsługi producentów rolnych.

Istniejące w tej dziedzinie braki, niekorzystnie odbijają się w pewnym stopniu i na produkcji rolnej (konieczność corocznej naprawy narzędzi i sprzętu rolniczego, budynków zwłaszcza inwentarskich itp.), absorbują rolnikowi wiele czasu i mitręgi z uszczerbkiem dla jego zajęć produkcyjnych i dlatego powinny być jak najszybciej usunięte.

2. **Małorolni chłopi.** — Gospodarstwa ich (od 0,5 do 4 ha) stanowią dziś ponad 40 proc. ogólnej liczby gospodarstw, obejmując ok. 4 miliony ha użytków rolnych. Ta część warstwy chłopskiej, spychana przed wojną z rynku, stała się producentami i konsumentami na dużą skalę dopiero w Polsce Ludowej. Wywdzięczając się za stałą opiekę i pomoc władzy ludowej małorolni chłopi dali wielki wkład pracy, wykazali ogromną inicjatywę gospodarczą, położyli niespożyte (nieraz heroiczne) zasługi w odbudowie rolnictwa ze zniszczeń wojennych. Im to głównie rolnictwo zawdzięcza podwojenie produkcji rolnej (w przeliczeniu na głowę ludności) w latach 1946 — 1950, szerokie, nieporównywalne ze stosunkami przedwojennymi, upowszechnienie pracochłonnych roślin przemysłowych, szybki wzrost pogłowia trzody chlewnej itp. wielkie osiągnięcia naszego rolnictwa.

Część z nich już w okresie Planu 3-letniego (1947 — 1949) zaczęła dorabiać w zawodach pozarolniczych dzieląc swą pracę między gospodarką rolną i zajęcia pozarolnicze

Ogromną zmianę w ich sytuacji społecznej i materialnej otworzyły dwa pierwsze lata Planu 6-letniego, w których 1.200 tys. ludzi odeszło do zajęć pozarolniczych (nie licząc młodzieży szkolnej).

Coraz więcej małorolnych chłopów widzimy w Nowej Hucie, w stalowni Częstochowa, w zakładach im. Stalina, przy budowie wielkiego kombinatu włókienniczego w Piotrkowie, 10 kopalń na Górnym Śląsku, ogromnej rozbudowie kopalnictwa rud żelaza i innych metali, przy budowie nowych szybów naftowych, elektrowni, linii kolejowych, nowych osiedli mieszkaniowych itp.

Spotykamy ich coraz więcej na ulicach naszych wielkich miast, gdy



Foto WAF

z hoteli robotniczych idą na budowy, gdy codziennie rankiem pieszo, furmankami, rowerami, samochodami fabrycznymi, pociągami płyną rosnącą falą z zabitych niegdyś od świata deskami wsi, spiesząc do pracy w przemyśle, budownictwie i komunikacji.

Z małorolnego gospodarstwa odpływa dziś poważna część głównej siły roboczej (dorośli synowie, niezamężne córki, ojcowie) — na gospodarstwie pozostają albo starzy rodzice albo żona małorolnego z dziećmi. W tych warunkach główny niegdyś warsztat pracy i źródło utrzymania: własne drobne gospodarstwo i dochody z niego stają się uzupełnieniem podstawowych dochodów płynących z pracy w zawodach pozarolniczych

(Dokończenie na str. 2)

O WZROST TOWAROWEJ PRODUKCJI WSI

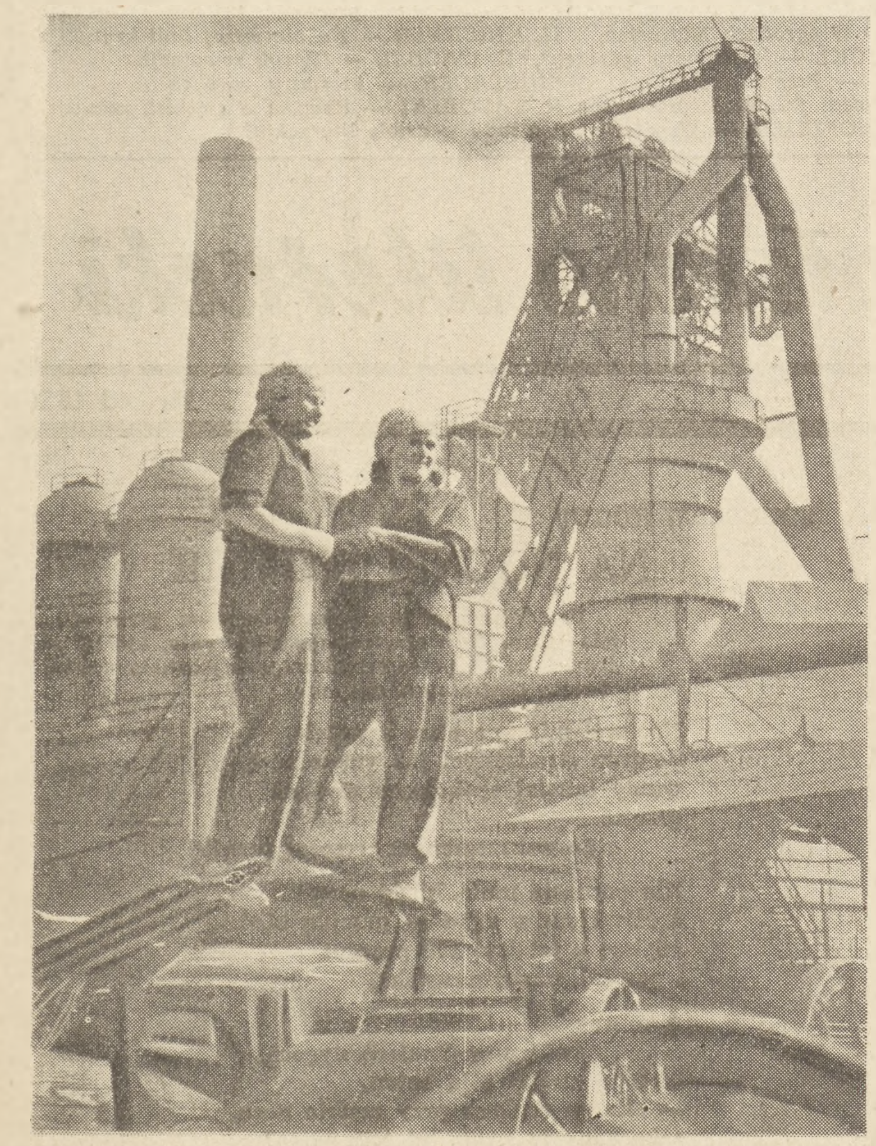


Foto WAF

jednego a często kilku członków rodziny małorolnego chłopa.

Dlatego też wiele z tych gospodarstw w okręgach silniej uprzemysłowionych (gdzie właśnie szybko rośnie chłonność rynku na artykuły przemysłowe), przechodzi na gospodarkę samozaopatrzeniową, hodując np. 1 krowę i jedną, najwyżej dwie świnie, kilka kur, uprawiając trochę ziemniaków, warzyw itp. raczej na własny użytek, rezygnując z uprawy tak pracochłonnych roślin przemysłowych czy intensywnej uprawy kłosowych lub okopowych.

Witając z radością ten odpływ ludności małorolnej ze wsi, jej awans społeczny i ogromny wzrost jej siły nabywczej i stopy życia, należy dołożyć starań aby dopomóc im w podnoszeniu stale towarowej produkcji swych gospodarstw.

Korzenie tych trudności tkwią nie w czym innym, jak w tej podstawowej, antagonistycznej sprzeczności pomiędzy społecznym systemem wytwarzania, a prywatnym władaniem środkami produkcji, sprzeczności, która znajduje swe pełne rozwiązanie dopiero w rozwiniętej gospodarce socjalistycznej.

Istnieją jednak już i dziś ogromne, niewykorzystane jeszcze możliwości złagodzenia tych trudności i utrzymania, a nawet zwiększenia towarowości tego typu gospodarstw małorolnych, z których główna siła robocza odpłynęła już na stałe, bądź odpływa dorywczo do zajęć pozarolniczych.

Rzecz jasna, nie kosztem odwrócenia całego procesu bądź dodatkowego obciążenia dawnego małorolnego chłopa, a dziś chłopa - robotnika. Pamiętajmy bowiem o tym jak poważne wymagania stawia Plan 6-letni przed nowym robotnikiem w zawodach pozarolniczych, jaki wielki nacisk kładzie na zdobywanie przez niego w szybkim tempie wyższych kwalifikacji fachowych i opanowanie zawodu. Jest pewne, że ogromna większość byłych małorolnych, niejednokrotnie dziś jeszcze dorywczo związanych z przemysłem, komunikacją, budownictwem w charakterze sezonowych robotników niewykwalifikowanych z każdym miesiącem wiązać się będzie mocniej z nowym zawodem.

Z kogóż bowiem, jak nie z nich, rekrutować się będzie kilkudziesięcio tysięczna ekipa hutnicza kombinatu metalurgicznego Nowej Huty, włókniarzy Piotrkowa, Zambrowa, Kościerzyny, chemików z Zakładów w Dworach k. Oświęcimia, fabryki w Kędzierzynie, górników nowych kopalni: Gigant, Wesoła, Ziemowit, zakładów metalurgicznych Żerania, Lublina, Kraśnika, Mielca, Piły itp.— skoro poza wsią i małymi miasteczkami oraz częścią kobiet w wielkich miastach nie posiadamy już dziś większych rezerw siły roboczej?

Ogromną rolę w podnoszeniu towarowości tych małorolnych gospodarstw odegrać mogą i powinny **grupy hodowców i plantatorów ZSCh**, które powinny otoczyć większą opieką, wciągać do intensywnej produkcji rolnej, pozostałe na tych gospodarstwach **żony** chłopów - robotników, w warunkach gdy przemysł, tak chętnie idzie na rękę potrzebom tych gospodarstw, udzielając urlopów w okresach pilnych robót polnych (siewy, żniwa, wykopki) ich mężom, braciom czy synom.

Wspaniały rozwój rolnictwa radzieckiego, w którego sukcesach tak chlubną kartę mają kobiety - kołchoźnice radzieckie, świadczy wymownie jak olbrzymie rezerwy pracy i energii, inicjatywy i zdolności marnowały się w czasach kapitalistycznych wskutek odsuwania kobiet od zajęć produkcyjnych i lekceważenia ich roli w całokształcie gospodarki a także produkcji rolnej. To wymaga nie tylko szerokiej akcji uświadamiającej, szkoleniowej itp., ale i niejednokrotnie konkretnej pomocy produkcyjnej w ramach pomocy sąsiedzkiej w celu uzupełnienia brakującego sprzężaju i siły roboczej, przemyślenia najbardziej właściwych dla tego typu gospodarstw kierunków produkcyjnych itp.

Czyż nie stoi przed rolnictwem polskim w Planie 6-letnim sprawa ogromnego wzrostu hodowli bydła, drobiu (kur, kaczek, gęsi, indyków) i innego drobnego inwentarza (pszczół, królików, zwierząt futerkowych itp.), a więc gałęzi wyjątkowo mało pracochłonnych i jak pasujących do tego typu gospodarstw?

Sprawa cała ma ogromne znaczenie i polityczne, gdyż wróg klasowy usiłuje wykorzystać każdą szczelinę, każdą przejściową chorobę wzrostu dla podważenia i osłabienia sojuszu robotniczo - chłopskiego i więzi ekonomicznej miasta ze wsią.

W miarę zaś rozwoju naszej gospodarki, szybkiej rozbudowy budownictwa mieszkaniowego w miastach (i związanych z nią możliwości odejścia ze wsi), z jednej strony, a z drugiej w miarę narastania warunków w bazie ekonomiczno - technicznej i w świadomości mas pracującego chłopstwa dla szybszego rozwoju spółdzielczości produkcyjnej sprawa ta znajdzie swe ostateczne, zgodne z interesami przemysłu i rolnictwa rozwiązanie.

3. **Średniorolni chłopi.** — Ich gospodarstwa (od 4 do 12 ha) stanowią ok. 10 mil. ha użytków rolnych i odgrywają dziś ogromną już rolę zarówno w globalnej, jak zwłaszcza towarowej produkcji wsi przede wszystkim w dziedzinie upraw przemysłowych, okopowych, pasz zielonych, a także kłosowych oraz w hodowli.

O ile wśród małorolnych, wskutek ich coraz bliższej łączności z przemysłem i ich częściowym wchodzeniem w szeregi klasy robotniczej stwierdzamy szybsze dojrzewanie nowej świadomości i krystalizowanie się wyraźnego oblicza klasowego, to grupa średniorolnych chłopów wymaga jeszcze ogromnej a cierpliwej, na cennych, wypróbowanych zasadach strategii leninowsko - stalinowskiej opartej, pracy polityczno-uświadamiającej.

Występujące w tych gospodarstwach elementy kapitału, warunki ekonomiczne, wieloletnie przyzwyczajenie i powiązanie z rynkiem kapitalistycznym itp. powodują chwiejność średniaka.

„Przytoczone przez nas dane statystyczne — pisał Lenin — wykazują naocznie różnicę, jaka zachodzi między chłopem pracującym a chłopem-spekulantem. Ten oto chłop, który w latach 1918 — 1919 dostarczył głodnym robotnikom w miastach 40 milionów pudów zboża po ustalonej cenie państwowej, za pośrednictwem organów państwowych, mimo wszelkie ich wady, doskonale znane rządowi robotniczemu, ale nie dające się usunąć w pierwszym okresie przejścia do socjalizmu — ten oto chłop jest chłopem pracującym, równouprawnionym towarzyszem robotnika-socjalisty, najpewniejszym jego sojusznikiem, jego rodzonym bratem w walce przeciw jarzmu kapitału. Chłop zaś, który cichaczem sprzedał 40 milionów pudów zboża po cenie dziesięciokrotnie wyższej niż cena państwa, wyzyskując nędzę i głód robotnika w mieście, oszukując państwo, wzmagając i szerząc wszędzie oszukaństwo, rabunek, łajdackie szachrajstwa — ten oto chłop jest spekulantem, sojusznikiem kapitalisty, jest klasowym wrogiem robotnika, jest wyzyskiwaczem. Albowiem posiadać nadmiar zboża, zebranego z ogólnopaństwowej ziemi za pomocą narzędzi w które w ten czy inny sposób włożona została praca nie tylko chłopa, ale i robotnika itd., posiadać nadmiar zboża i spekulować nim — znaczy to być wyzyskiwaczem głodnego robotnika“ *).

Trzeba tę chwiejność przezwyciężać, umacniając więź średniorolnych chłopów z proletariatem, a izolując ich od wpływu kułactwa.

Trzeba, aby średniorolni chłopi zrozumieli jasno (a cała praktyka pracy terenowej winna im to ułatwić), że Państwo Ludowe popiera wzrost zamożności uzyskany własną pracą, zgodną z wytycznymi narodowego planu gospodarczego, a zwalcza i zwalczać będzie z coraz większą siłą jedynie dzikie bogacenie się typu kapitalistycznego oparte o wyzysk najemników, lichwę, spekulację na czarnym rynku itd. Dlatego też dalszy wzrost produkcji tych gospodarstw oraz wzrost ich dochodowości w warunkach władzy ludowej, przy istnieniu szeroko rozbudowanej spółdzielczości zaopatrzenia i zbytu, w warunkach mocnej, regulującej roli państwa na rynku towarowym (przy wyraźnej perspektywie na przebudowę rolnictwa) — jest pożądany i zgodny zarówno z interesami Polski Ludowej jak i z interesami samych chłopów.

Dalsze podnoszenie produkcji średniorolnych, (a także i małorolnych) gospodarstw, a zwłaszcza hodowli, utrudnia głód artykułów inwestycyjnych (zwłaszcza materiałów budowlanych) oraz wątpliwości (nie zawsze uzasadnione) wśród ekonomistów, czy opłaca się inwestować drobne i średnie gospodarstwa chłopskie w perspektywie gruntownej przebudowy ustroju rolnego w Polsce. Z drugiej strony zaostrza to zagadnienie perfidna propaganda kułacka, która „odradza“ średniakowi inwestycje, z których jakoby później już w spółdzielni produkcyjnej nie będzie korzystał. O chwiejności średniorolnych chłopów i w tej dziedzinie świadczy zdumiewająco niskie wykorzystanie kredytów inwestycyjnych, wahających się od 30 do 50 proc. A przecież gospodarstwa zwłaszcza drobne a także średnie wyszły z okresu kapitalistycznego z marnymi i małymi (nieraz na 2 lub 3 stanowiska dla zwierząt) budynkami produkcyjnymi: chlewami, oborami, owczarniami, kurnikami itp., które odpowiadały ekstensywnemu charakterowi przedwojennej produkcji rolnej. Sprawa tych (uprzednio dokładnie zbadanych pod kątem społecznej i ekonomicznej celowości) inwestycji może i powinna być rozwiązana w oparciu o wykorzystanie lokalnych, tanich, zastępczych materiałów budowlanych: glina, cegła piaskowo-wapienna, słoma itp.

Zasady kredytowania i inwestowania powinny być na nowo ustalone w porozumieniu z chłopami, przy pełnym wykorzystaniu ich inicjatywy, pomysłów i wniosków racjonalizatorskich.

Niezadowalająco również dotychczas przedstawiają się jeszcze dwie sprawy kluczowe w produkcji roślinnej i zwierzęcej. Pierwszą z nich to sprawa podniesienia poziomu wiedzy agrotechnicznej a zwłaszcza właściwego wykorzystania nawozów sztucznych, których przecież na ha rolnictwo otrzymuje sześć razy więcej niż przed wojną, a przyrost plonów — nawet biorąc pod uwagę brak obornika — nie odpowiada zupełnie pokładanym nadziejom. Drugą jest sprawa bardziej energicznego (nawet bez gruntowych podstawowych inwestycji wodno-melioracyjnych) zagospodarowania naszych łąk i pastwisk, a zwłaszcza ich nawożenia, podsiewania i pielęgnacji, poprawienia w ten sposób naszej, tak szczupłej, bazy paszowej.

Wszystkie te sprawy ograniczające dziś możliwości dalszego, szybkiego wzrostu produkcji rolnej powinny być w r. 1952 przedmiotem potężnej kampanii Związku Samopomocy Chłopskiej, przy pomocy całego fachowego aparatu Ministerstwa Rolnictwa.

4. **Kułacy.** — Gospodarstwa powyżej 20 ha (a więc niewątpliwie już gospodarstwa o charakterze kapitalistycznym) zajmują w Polsce ok. 2 milionów ha, dysponując znaczną liczbą inwentarza żywego, zwłaszcza koni i krów. Ich stosunek do potrzeb państwa i zadań produkcyjnych rolnictwa wywołuje dziś słuszne oburzenie podstawowych mas chłopskich. Zaniżanie produkcji, niewykorzystanie nieraz nawet drobnej części możliwości swego gospodarstwa itp., przejawy walki klasowej kułactwa przeciw całej naszej planowej gospodarce muszą być energicznie w oparciu o czynnik społeczny zwalczane. W wypadku zaistnienia pojedynczych takich wydarzeń na terenie danej wsi można je rozwiązać na drodze mocniejszego, społecznego oddziaływania zorganizowanej opinii gromady, grożącej kułakowi całkowitą społeczną izolacją w wypadku dalszego uchylania się od wypełniania części przypadającej na gromadę zadań produkcyjnych.

W wypadkach bardziej masowego występowania tych objawów „działalności“ kułackiej, należy szukać środków zaradczych na drodze socjalistycznej, a więc wypróbowania starych (np. gromadzkie likwidowanie ugorów) i stworzenia nowych form społecznego, gromadzkiego zagospodarowania niewykorzystanej ziemi, a także i budynków produkcyjnych, w ramach obowiązujących ustaw i rozporządzeń.

Przykładem, jak należy walczyć o wzrost towarowości rolnictwa, są wyniki i plany walki o wzrost towarowości PGR oraz spółdzielni produkcyjnych, do których jeszcze powrócimy.

Wojciech Ścibor

*) W. I. Lenin, Marks — Engels — Marksizm, Warszawa, 1949, str. 453, 454.

CZESŁAW CZERNIAWSKI

Rys. St. Gierowski

JEDEN PUNKT PORZĄDKU DZIENNEGO

Towarzysz sekretarz Januariusz Olkiewicz, wstając z krzesła wyjął z kieszeni okulary w niklowej oprawie i przetarł szkła wielką, kraciastą chustką do nosa. Jedyna żarówka dawała słabe, żółtawe światło mroczniejące pod ścianami i po kątach sali. Dlatego też Olkiewicz musiał pochylać nad stołem swą tyczkowatą postać zakończoną łysą, kanciastą czaszką, ażeby odczytać program zebrania: — Otwieram zebranie naszej podstawowej organizacji partyjnej i proponuję następujący porządek dzienny: zagajenie, wybór przewodniczącego, odczytanie protokółu z poprzedniego zebrania, sprawa niepartyjnej postawy towarzysza Bondarczuka w obecnej akcji...

*

Bondarczuk miał już porządnie w czubie, lecz nie dawał się jeszcze. Rozparł się szeroko w krześle, wyciągnął nogi pod stół, obficie zastawiony jadłem i butelkami z wódką, winem i piwem, usiłując zrozumieć sens słów Brudnickiego, który pochylony ku niemu z kieliszkiem w ręku, klarował coś od dłuższej chwili. Jednak niewielka tylko część słów docierała do przyćmionej świadomości Bondarczuka — reszta ginęła w ogólnej wrzawie, krzyku i śmiechu podchmielonych, rozbawionych gości, siedzących za długim stołem po środku obszernego pokoju. W chwilach, gdy czyjeś gwałtowniejsze poruszenie rozwiewało nieco mgiełkę dymu, wydawało mu się, że żona daje mu jakieś gniewne znaki oczami.

Bondarczuk niepewną dłonią nalał sobie do szklanki musującej gazem lemoniady i wypił duszkiem. Rozjaśniło mu się nieco we łbie. Aha, już wie o



Sekretarz Januariusz Olkiewicz

co chodzi Urszuli. To prawda, uparta z niej baba i chciwa, oj chciwa. Ale też i mądra. Ooo, mądra...

Skupił całą uwagę, żeby wreszcie pojąć o co chodzi Brudnickiemu. Bo z tego powodu żgała go Urszula swym wzrokiem. Wiadomo, ze znajomości z takim Brudnickim, pożytek wielki może być. A przecie od dzisiejszego dnia są kumotrami. Nie darmo trzymał dzisiaj Bondarczuk jego syna do chrztu.

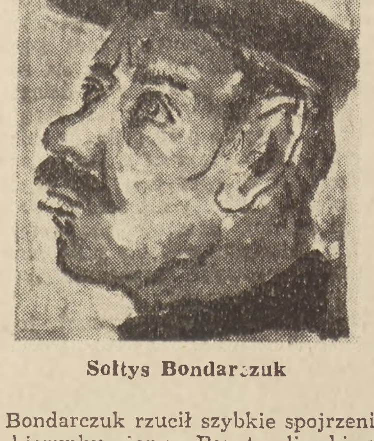
— No tośmy teraz jakby jedna rodzina — zrozumiał wreszcie, że Brudnicki gadał o tym samym. — No, wypijcie ze mną... chrzestny.

Wprawdzie Bondarczuk nie miał już chęci do wódki, ale wypił. Zakrztusił się, wstrząsło mu wszystkimi flakami we wnętrzu, ale wytrzymał. A Brudnicki przysunął się jeszcze bliżej i mówił coraz poufalej:

— Wielki to zaszczyt dla mnie, że sam pan sołtys syna do chrztu świętego podawał. Boga bym obraził i syna skrzywdził, gdybym za taką usługę wdzięczności nie okazał.

— Co też pan mówi, panie Brudnicki — nieszczerze zaoponował Bondarczuk.

— Jaki pan? Jaki pan! — obraził się gospodarz. Zmrużył oczy, jakby chciał zabezpieczyć się przed odczytaniem myśli przez tamtego. — Jesteś chrzestnym mego syna, Seweryn, czy nie jesteś? I jaki tu pan? — uderzył dłonią w kolano Bondarczuka. — Taki dzisiaj jestem, żebym ci chciał jak najlepiej. Przecie swój jesteś, nie?... Bondarczuk. Chcesz, to ci sprzedam tę łączkę popod lasem. Możesz ją zaorać. I tanio sprzedam, krewniakowi przecie.



Sołtys Bondarczuk

Bondarczuk rzucił szybkie spojrzenie w kierunku żony. Popatrzyli sobie w oczy i zrozumieli się. Kiedyś nawet Bondarczuk gadał w tej sprawie z Brudnickim, ale wówczas ten odmówił. A teraz...

Bondarczuk przełknął ślinę, która nagle utkwiła mu w gardle. Widać rozkrochmalił się bogacz pod wpływem wódki, czy uroczystości. Trzeba to wykorzystać.

— Nie żartujecie? — Bondarczuk już nalewał wódkę w kieliszki dla przypieczętowania umowy. — Poważnie mówicie?

— Jakże bym żartował z krewniaka? Poważnie mówię: sprzedam wam.

Uderzyli dłonią w dłoń, wychylili kieliszki. Bondarczukowa podniecona, rozgorączkowana transakcją, przysunęła się bliżej.

— Swojakowi przecież sprzedaję — mówił dalej Brudnicki, znów napełniając kieliszki. Bondarczuk nie wzdragał się już. Nagłą radość z powiększenia o kilka mórg swojej gospodarki, otrzeźwiła go. — Boć swojak jesteś, Bondarczuk, chociaż sołtys i partyjniak, no nie? Toć z ciebie najlepszy w Mielinowie gospodarz. Nie do Walczaka ci, nie do Olkiewicza, tylko do nas, prawdziwych gospodarzy.

— A pewnie, pewnie — wtrąciła Bondarczukowa. — Ale co robić. Takie dzisiaj mamy czasy, że człowiek nie wszystko może, coby chciał. Czasem trzeba inaczej.

— Ja to wiem, wiem — przytakiwał Brudnicki. — Wiem, kumo.

*

Następnego dnia po chrzcinach, Bondarczuk zwlókł się z łóżka z okropnym bólem głowy. W gardle piekła go zgaga, dręczyło pragnienie. Z trudem wciągnął buty na nogi i wyjrzał na świat przez okno.

— Znowu pogoda — mruczał Bondarczuk, skrobiąc się palcami w gęstwię czarnych włosów. — Susza, psiakość. — Zastanowił się chwilę, przypominając sobie coś: — Rację miał Brudnicki: bida będzie jak diabli. Mądrze gadał, psiajucha, zorobek będzie jak ulał. He, he, he.

Ruszył do kuchni żeby twarz obmyć zimną wodą dla spędzenia resztek śladów snu i wczorajszej pijatyki. Tutaj również pusto było.

— Gdzież to znów Urszulka poleciała? — pomyślał. W tej chwili przypomniał sobie: — Aha, toć to piątek dzisiaj. Do miasta z masłem pojechała. Grubą forsę tam teraz za nie płacą.

W tej chwili jakiś cień zniecierpliwienia przemknął mu po czerwonej, obrzmiałej twarzy, o podpuchniętych oczach. Zatrzymał się nad miską z mydłem w ręku.

— Czego ten Walczak tak się do mnie przyczepił?

Walczak był sąsiadem Bondarczuka, a jednocześnie prezesem gromadzkiego koła ZSCh. Gospodarkę miał niewielką, stale był zaharowany, zatroskany codziennymi kłopotami. Wczoraj rano zaczepił sołtysa na drodze i powiada:

— Dlaczego Bondarczuk nie oddajecie mleka i masła do gieesu? Spółdzielnia planu nie może wykonać, a wy zamiast dawać przykład, to sami żonę do miasta wysyłacie. — A co to? — obruszył się sołtys. — Nie wolno mi sprzedać tam gdzie chcę? — Nie wstyd wam to mówić — rzucił już z gniewem Walczak — wam, sołtysie?

— Tfu, do licha! — splunął ze złością Bondarczuk na to wspomnienie, zanurzając ręce w wodzie.

W tej chwili zapukano do drzwi. Do kuchni wszedł sekretarz Olkiewicz.

— Dzień dobry.

— A dzień dobry, dzień dobry — odpowiedział Bondarczuk, chlustając zimną wodą na twarz. — Siadajcie gdzie, zaraz umyję się.

— Nic, nic, ja tylko na chwilę — Olkiewicz mówił wolno, jakby ważył wartość każdego słowa przyglądając się zarazem pilnie gospodarzowi. — Wiedzieliście, że wczoraj było partyjne zebranie, dlaczego nie było was?

— Nie mogłem, kochany — Bondarczuk ukrył twarz w białej płachcie ręcznika, którym się ocierał. — Musiałem być na chrzcinach.

— Słuchajcie Bandarczuk, to już chyba szóste zebranie, na którym was nie było. — Głos Olkiewicza stał się surowy. — To sołtysostwo wam przeszkadza, to choroba, to znowu chrzciny. I gdzie? U kułaka!

— A jaki tam kułak z Brudnickiego. — Bondarczuk powiesił ręcznik na gwoździu i zajął się zapinaniem koszuli. — Że lepiej gospodarzy od innych, to zaraz ma być kułak?

— Nie lepiej gospodarzy, tylko na wyzysku dorabia się.

— Jaki tam wyzysk. Toć dzieciaki ciotki pomagają mu w gospodarstwie, a ona za to mieszkanie ma. Zresztą rodzina to przecież.

— Rodzina, powiadacie? — Olkiewicza wielkie oburzenie aż zatkało. — A wy wiecie, że ten Antoś półanalfabeta, że Jasiek, chociaż zdolny, drugi rok w czwartej klasie siedzi, bo Brudnicki nie daje im czasu na naukę? A wiecie, ile on każe płacić za mieszkanie w swoim domu w Zacharce? Jaki tam wyzysk — parskał gniewnie. — Ślepy jesteście Bondarczuk!

Bondarczuk milczeniem zbył słowa Olkiewicza. Włożył marynarkę, przyczesał mokre włosy i rozejrzał się za czapką.

— Słuchajcie Bondarczuk — Olkiewicz uspokoił się i przystąpił do właściwej sprawy. — Trzeba dzisiaj zwołać gromadzkie zebranie. Dostaliście chyba pismo z gminnej rady?

— A jest tam jakiś papierek — obojętnie odpowiedział sołtys. — Idziecie?

Wyszli na drogę. Olkiewicz mówił dalej, lecz Bondarczuk nie bardzo go słuchał, zajęty swoimi myślami.

— Rację miał Brudnicki — rozmyślał. — Susza, nieurodzaj, w mieście ceny rosną. Zboża co sprzedałem do spółdzielni, to już starczy, resztę na wiosnę schować. Wtedy cena jeszcze większa będzie. A kartofle trzeba w mieście sprzedać. Podobno na wolnym rynku płacą po 80 złotych, a w spółdzielni tylko osiemnaście. — Ogarniała go spekulancka żyłka, umiejętnie podsycona wczoraj przez kułaka. Brudnicki wprawdzie nie namawiał do niczego sołtysa, tylko chwalił się przed nim swymi kombinacjami. Wystarczyło to jednak, żeby i w Bondarczuku zagrały instynkty posiadacza, handlarza. — A że planu nie wykonam, to co z tego? Co mi zrobią? Mądrze to wyłuszczył ten spryciarz Brudnicki, że nie mają prawa nic zrobić. Powiedział tak: zeszłego roku zabierali nam zboże, przymusowo omłoty robili, no i co? Co w Gryficach było? Od swojej partii po łapach za to dostali. W tym roku nic już nie zrobią.

W tej chwili myśli jego zostały przerwane, głośniej wypowiedzianymi przez Olkiewicza słowami:

— A wy też moglibyście kartofli zadeklarować. Dobry przykład byłby dla wsi.

— Coo? — Bandarczuk aż przystanął, tak zaskoczyła go ta propozycja.— Deklarować? — spytał, by zebrać myśli. — Ale, gdzie tam! Nie wiem czy będzie tyle, żeby kontraktowane odstawić. Toć wiecie, że nie obrodziły.



Urszula Bondarczukowa

— Wiemy, wiemy — Olkiewicz uważnie spojrzał na twarz sołtysa. — Ale wiemy, że u was obrodziły najlepiej. Sadziliście przecież na tym najniższym, najbliższym stawu kawałku.

— Co z tego? — oburzył się Bondarczuk. — Nie obrodziły. Chyba ja lepiej znam swoje gospodarstwo.

— Co? O kartoflach gadacie? — Nie zauważyli jak zbliżył się do nich Walczak. — Czy to prawda, że będzie w tej sprawie zebranie? Bo u nas z planem trochę niebardzo. Trzeba by pomówić z ludźmi.

— Pomówić, pomówić — zirytował się nie wiadomo dalczego Bondarczuk. — Co im gadać, nieurodzaj. Z czego będą sprzedawać?

— Oj, sołtysie, coś tutaj kręcicie — sprzeciwił się Walczak. — Plan jest przecież tak pomyślany, że każdy może go wykonać. Sami zresztą tyle za nim gadaliście, a teraz inaczej gadacie? Jakże to?

— Bondarczuk twierdzi, że tak mu nie obrodziły, że nie wie czy kontraktowane całkiem odstawi — powiedział Olkiewicz. — A ja myślę, że jako sołtys i partyjniak zadeklaruje coś więcej, żeby przykład dać.

— Co wy możecie wiedzieć, co ja mogę deklarować? — rozgniewał się już nie na żarty sołtys.



Kułak Brudnicki

— A wiemy, wiemy — zapalczywie odpowiedział mu Walczak. — Wiemy, że pan sołtys poważnie zalega ze sprzedażą zboża, że jeszcze ani grosza podatku nie zapłacił. Cała wieś o tym mówi. „Co on nam chodzi gadać o naszych obowiązkach, kiedy sam ich nie wykonał. I do tego sołtys i partyjniak“ — gadają o was. I co wy na to? — Walczak poprawił czapkę na głowie i spojrzał w oczy Olkiewiczowi. — Nic? No to ja wam na to odpowiem panie sołtysie. Ja chociaż mam tylko cztery hektary i gorszą gospodarkę, zadeklaruję sprzedać ponad plan 500 kilo kartofli. Ot co. Dzisiaj na zebraniu to powiem, wobec wszystkich to powiem! I powiem jeszcze, że trzeba zrobić porządek z takimi jak wy, jak Brudnicki i jemu podobni.

Bondarczuk wrócił do domu okropnie zły.

— A to się przyczepili do mnie — mruczał, pocierając dłonią bolącą jeszcze głowę. — Trzeba prędzej te kartofle po cichu do miasta wywieźć, żeby ich u mnie nie było. Wiadomo, i tak nic nie zrobią ale lepiej żeby ich nie było. Dziś wieczorem chyba pojadę...

*

—Towarzysz Bandarczuk — kończył swoje przemówienie sekretarz Olkiewicz — od dawna wykazywał już postawę niegodną członka Partii. A w obecnej akcji, całkiem ujawnił swoje oblicze, którego niestety my wcześniej nie widzieliśmy, karierowicza, człowieka w partii przypadkowego, działającego tylko dla swoich osobistych, egoistycznych korzyści.

Było późno. Żółte światło stało się jakby jeszcze bardziej słabe, sala świetlicy jakby jeszcze bardziej zmroczniała.

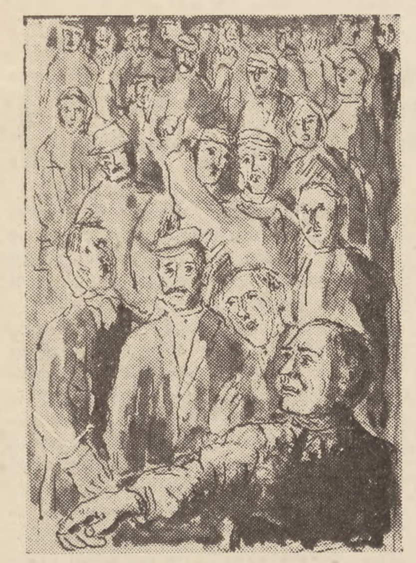
— Dlatego też stawiam wniosek: wydalić towarzysza Bandarczuka z szeregów naszej organizacji partyjnej. — Sekretarz Olkiewicz przerwał na chwilę i powiódł wzrokiem po zebranych. — A jednocześnie drugi wniosek: przenieść towarzysza Walcząka z kandydata na członka naszej partii.

Czesław Czerniawski

BOLESŁAW LESMAN I ANDRZEJ SMOLEŃ

TRUDNA GMINA

Rys. St. Gierowski



Od pierwszych dni października sytuacja w gm. Mroczna stawała się coraz bardziej krytyczna. Widać było wyraźnie, że nowy przewodniczący Gminnej Rady Narodowej Szadkowski, nie potrafi naprawić tego, co popsuł jego poprzednik Kielski. Pełnomocnik gminny do spraw skupu, robotnik z Aleksandrowskich Zakładów Przemysłu Galanteryjnego, Wiśniewski, też nie umiał ująć w ręce pogmatwanych nici. Gdzie zacząć, żeby przełamać wreszcie nieugięty zdawało się opór kułacki?

Plan przewidywał zwiększenie dostaw we wrześniu i największe nasilenie w październiku. A tu dostawy malały. Miało być 52 tony ziarna w sierpniu, 106 ton we wrześniu, 178 ton w październiku. A było: 62 tony w sierpniu, 47 we wrześniu. 20 dni października dały 34 tony zboża. W tym tempie skup zakończyłby się po przyszłych żniwach. A przecież biedniejsi chłopi i część średniaków, co miała sprzedać, już sprzedała. Niektórzy nawet z nadwyżkami. Taka na przykład wdowa, Anastazja Szpruch z Brużyczki Małej zamiast przypadających jej 277, odwiozła na punkt skupu 377 kg. zboża.

Pozostał drugi obóz. Jego opór doprowadzał Wiśniewskiego niemal do rozpaczy. Klął wszystko na czym świat stoi, ale najwięcej chyba Kielskiego. Bo też wygodny żywot prowadził sobie Kielski, jako przewodniczący Gminnej Rady Narodowej.

Kiedy się skup zaczął zwracali się niektórzy do Kielskiego, jak do swego przyjaciela o poradę. Co zrobić, jak komu za dużo zboża wyliczyli do sprzedania? A Kielski wszystkich uspokajał: „Nie bójta się nic — mówił. — My tu gryfickich sposobów powtarzać nie będziemy". Przystępując do spółdzielni produkcyjnej, która powstaje w Mrocznej, Kielski sprzedał konia, wóz, wszystkie narzędzia i siewnik. Jedni tłumaczyli to tym, że rozpił się i wciąż potrzebował pieniędzy na wódkę. Inni twierdzili, że sprzedał wszystko, żeby nie dać do spółdzielni.

Taki przewodniczący to woda na młyn kułactwa. Wprawdzie Kielski w końcu sierpnia został usunięty ze stanowiska i wykluczony z Partii, ale kułacy w Mrocznej węsząc zagrożenie tym zuchwalej popodnosili głowy. Zaryzykowali — kto kogo?

Wyraźnie kpił sobie z władzy ludowej, z wszelkich ustaw, zarządzeń i dekretów 15 hektarowy gospodarz Demion Momotko. W ubiegłym roku gradobicie wyrządziło mu pewne, nieznaczne zresztą szkody w zbożu, wobec czego napisał podanie bezpośrednio do Warszawy i sam z nim pojechał. W podaniu prosił o ulgę, jako że nie jest w stanie zapłacić przypadającego nań podatku gruntowego w zbożu. Przyszła odpowiedź zalecająca Wojewódzkiej Radzie Narodowej zbadanie sprawy i przyznanie ulgi. Ulgę dostał. Zamiast 2377 kg zboża, należnych tytułem podatku, polecono mu zapłacić 1426 zł. licząc po 60 zł. za metr zboża (cena urzędowa). Ale Momotce jeszcze i to nie dogadzało „Po 20 zł to bym zapłacił, a więcej nie". I nie zapłacił ani grosza. W 51 roku jego zaległości wzrosły o 4.100 zł za podatek gruntowy, i prawie drugie tyle za SFOR. Pieniędzy nie płaci, zboża ani ziemniaków nie odstawia, na wezwania Gminnej Rady nie odpowiada, a gdy się ktoś do niego wybierze, żeby go ustnie ponaglić grozi, że natychmiast pojedzie ze skargą do Warszawy.

Drugi kułak, Teofil Bełdowski, właściciel nieczynnej obecnie cegielni i ponad 18 ha gruntu, od kilku miesięcy prawuje się z Radą Narodową, że mu za dużo zboża wyznaczono do odstawy, bo nie odliczono nieużytków. Nikomu nie da sobie wytłumaczyć, że brano za podstawę 9,5 ha przeliczeniowych, zatem nieużytków nie liczono. Udaje, że nie rozumie i dalej się zawzięcie „procesuje". A przy tym wszędzie, na lewo i na prawo rozpowiada, że „sanacja mnie biła i demokracja mnie bije".

We wiosennym skupie tak długo nie chciał sprzedać zboża, aż przeprowadzono u niego przymusowy omłot. Za stodołą stała sterta zboża od żniw 48 roku. Kiedy ją wymłócono okazało się, że połowę ziarna wołki zjadły.

Kazimiera Ruszkowska miała przed wojną sklep w Łodzi. I teraz wcale nieźle się jej powodzi. Doświadczenia handlowego jej nie brak. A co do zboża? Woli paść żytem bydło.

Adam Jagodziński gospodaruje na 24 hektarach. Zboża nie sprzedaje, bo „bieda u mnie aż piszczy". Można uwierzyć, że piszczy wszystko, czego się dotknie ten 120 kg wagi chłop. „Co mi tam po zebraniach — powiada — pójdę czy nie pójdę i tak zboża nie sprzedam".

Były to najmocniejsze korzenie oporu w całej gminie, choć nie brakło i innych. Andrzej Gralewski z Aniołowa, Józef Antczak z Jastrzębic, Jan Sławniewicz z Brużyczki Małej i jeszcze wielu średniaków, idących w ślad za kułakiem. Przykład oporu działał zaraźliwie. Pod kułackie wpływy popadło nawet kilku sołtysów. Władysław Mrowiński z Karolewa, Zygmunt Samulski z Fronina, Kazimierz Ociesielski z Nakielnicy, Stanisław Zwierzchowski z Wierzbna. Jak mieli chłopi ocenić swoich sołtysów, którzy jeszcze do połowy października nie odstawili nawet części przypadającego im do sprzedaży zboża? Była to wyraźna zachęta do naśladowania.

Wiśniewski nie widział sposobu jak złamać ten opór. Każdy metr zboża, który napływał na punkt skupu był ciężko wywalczony wielogodzinnym przekonywaniem albo groźbą kary. Chłopi również nie płacili podatków a do 12 października nie dostawili nawet jednego kwintala ziemniaków. Jeżeli udawało się od kogoś wydostać trochę zboża to tylko od średniaków. Kułacy drwili sobie ze skupu. Bezsilny był też nowy przewodniczący Szadkowski. Momotki bała się cała Gminna Rada Narodowa, bo nuż rzeczywiście pojedzie do Warszawy. A Bełdowski gadał, że „możecie mnie wsadzić, a nic nie dam".

Na 20 października Mroczna miała skupionych 149 ton zboża, zamiast przewidzianych w planie 280 ton. Do rocznego planu brakowało 250 ton. Na odprawie pełnomocników w Komitecie Powiatowym Wiśniewski prosił sekretarza KP o pomoc. „Sam nie dam rady. Na tę gminę trzeba bardziej doświadczonego i twardego towarzysza. Może byście ściągnęli Niedzielę z Bełdowa..."

20 października w gminie Bełdów niewiele już brakowało do całkowitego wykonania rocznego skupu zboża. Wykonanie jesiennego planu w ziemniakach przekroczyło nawet 100 procent, a w zaległościach podatkowych wpłaty dobiegały końca.

Było to w dużej mierze zasługą tamtejszego pełnomocnika. Eugeniusz Niedziela, robotnik ze Zgierskich Zakładów Przemysłu Wełnianego, członek Partii od 47 roku, miał już spore doświadczenie w pracy na terenie wiejskim. Podczas wiosennej akcji skupu wyciągnął na jedno z pierwszych miejsc najbardziej kułacką gminę w powiecie łódzkim. To też zanim jeszcze przyjechał do Mrocznej, poprzedziła go legenda. Kułacy opowiadali o „strasznym" pełnomocniku, który „wszystko zboże do ostatniego ziarnka zabiera tak, że tylko głodem mrzeć".

*

20 października Komitet Powiatowy zdecydował się na zamianę pełnomocników. Wiśniewski przeniósł się na kilka dni do Bełdowa dla wykończenia akcji a Niedziela przyjechał do Mrocznej.

*

Tego samego dnia w Czarnocinie odbywał się wieczór świetlicowy. Przy sobocie ludzie się zeszli. Szkoła już od września przygotowała trochę tańców, piosenek i wierszy. Koło ZMP obiecało zagrać kilka scen z przygotowywanej sztuki Warmińskiego „Zwycięstwo", o której na wsiach w pobliżu Łodzi coś nie coś chłopi już słyszeli.

Ale wieczór ten zostanie w pamięci Czarnocina z innego zgoła powodu. Jakże bowiem mogliby ludzie o nim mówić w całej gminie, skoro dziesięć gromad nie oglądało go na własne oczy i nie słyszało na własne uszy. Coś się musiało zdarzyć. I zdarzyło się. W pewnym momencie weszło na scenę trzech chłopów. Dwóch tęgich i wąsatych przesłoniło trzeciego, który był niski i krępy.

— Ludzie kochani — zawołał jeden z wąsatych — pewnie nas poznajecie. Przyjechalim do was z gminy Bełdów. Wysłały nas gromady abyśmy wam opowiedzieli, jak tu u nas wyglądał skup, któren się już zakończył.

— Toście już skończyli ze zbożem?

— Już!

— A z kartoflami też?

— Też!

— To Niedzieli robota, co?

— Niedzieli, a jakże!

— Gadają, że ma do naszej gminy nastać. Prawda to?

— Prawda. Dlatego chcemy wam opowiedzieć, abyście wiedzieli czego się trzymać. Tylko nam powiedzcie w przódzi, co u was bogacze mówią o Niedzieli?

— A straszą, że wszystko zboże zabiera, ino głodem mrzeć.

Teraz wysunął się nagle krępy i niski chłop.

— A kto z was sprzedał już zboże? Podniesione ręce długo przeglądał, przesuwając głowę kilkakrotnie z jednej strony sali w drugą. Chłopi również zaczęli popatrywać uważnie. Oto sąsiedzi zza płotka, oto z drugiego końca drogi, z kolonii, z przysiołków... Odczuli wreszcie to, co widać chciał, aby odczuli, ów niski i krępy człowiek na scenie.

— Dużo nas, — ktoś zawołał, — bez piętnastu wszyscy. A i na wsi, z tych co nie przyszli, też będzie niemało.

Krępy cofnął się a wąsaty znów podjął rozmowę.

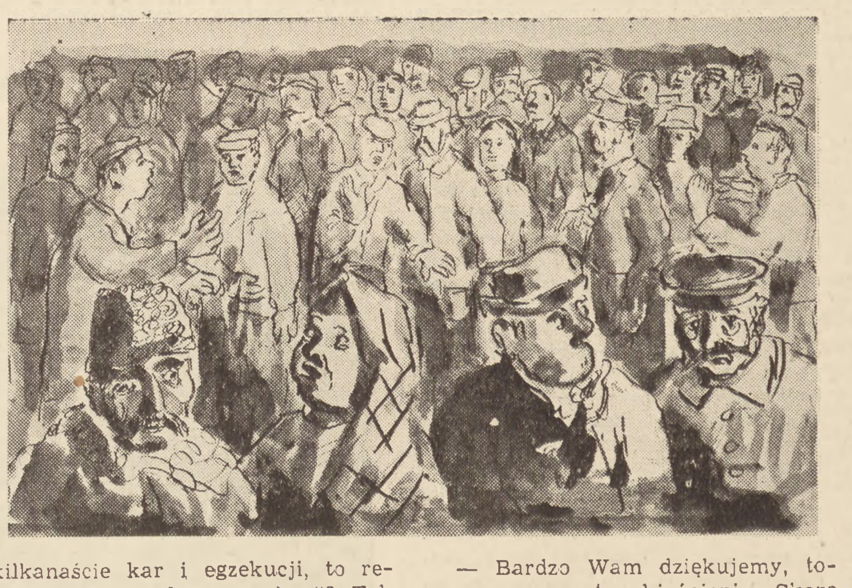
— Kiedyśmy furmanką mijali wasz dom ludowy i zobaczyli światło i tyla ludu, towarzysz powiada. Przedstawienie? Świetlica? Wstąpmy. Na tej sali spotkamy najlepszych, uczciwych i wyrobionych chłopów. I widzicie nie pomyliliśmy się. My po skupie i wy po skupie. A powiedzcie co wy sądzicie o Niedzieli? Dla was on przecież nie groźny.

— Ma się wiedzieć. Myśmy swoje wypełnili. Ale jak sobie poradzi z kułakami? Za nic oni mają dekrety.

— Kułacy szerzą opór, jakby to powiedzieć, metodą prowokacji i uczą jej średniaków. O taki Sławniewicz z Małej Brużyczki, średniak, a krzyczał do sołtysa, żeby cała wieś słyszała: „Wy mnie nie straszcie, już mnie w zeszłym roku straszyli, co Gryfice chcecie zrobić?" Sławniewicz, to nawet mój krewny. I ja o nim wspominam dla przykładu. Sam też jestem średniakiem, to rozumiem, że Niedzieli będą się u nas bać, ale takim strachem, który nie da rezultatu.

— A dlaczego?

— Bo mi się widzi, że w naszej gminie jest grubsza zmowa kułaków. W każdej wsi ich słychać. Połowy planu jeszcze brak a na tę połowę wypada około jedna trzecia gospodarstw. Trochę małorolnych, sporo średniaków i bogacze. Kułacy chcą jak najdłużej utrzymać, jakby to powiedzieć, cały obóz opornych. Rozumiecie, cały obóz! Mnie Sławniewicz też klarował: „co się głupi śpieszysz. Poczekaj. Co Rada Gminna ma na końcu? Kary administracyjne i licytacje. A jak je zastosuje wobec większej liczby gospodarstw? Dlatego wciąż hałasujemy „Gryficami". A jak walną



kilkanaście kar i egzekucji, to reszta wyjdzie cało, rozumiesz"? Tak mi klarował.

Kułacy chcą zaimponować średniakom, że idą na całego i w razie czego oni poniosą za ten spisek odpowiedzialność, a średniakom się upiecze, czyli, że rachunek dla nich jest jeden, trzymać z kułakami.

— A będą chcieli, żeby stał się naprawdę taki, jak go odmalowali: **straszny** pełnomocnik z partii, niech się ciska, niech podaje do grzywien, egzekucji, niech przegnie pałkę, a wtedy go władze odstawią i kułacy będą triumfować, bo średniaków swoim awanturnictwem zrazi.

— Tacyście pewni szaleństwa kułaków?

— Co do niektórych — tak. Momotko będzie do końca wojował. On się na Warszawę powołuje. Rada Gminna liczy się z tym, a nie widzi, że opór Momotki to nie opór kułaka, co nosa poza gminę nie wystawił, ale takiego, co do Warszawy jeździ obgadać sytuację. Otóż to, sytuacja w naszej gminie nie jest zwyczajna. Bełdowski już odsiadywał za sabotaż w obozie pracy. I nie przycichł, to też coś znaczy. Na 24 ha nie wiem czy uprawia 7 ha. Taką przyjął taktykę. Ludzie patrzą, gorszą się i dziwią, a on się śmieje: Co mi zrobią, ziemię zabiorą? Niech biorą, doczekam się jej z powrotem.

— Ta bezczelność robi swoje.

Niski i krępy człowiek wysunął się teraz na sam brzeg sceny.

— To wy towarzyszu — odezwał się znów niski i krępy człowiek, stanąwszy między bełdowskimi wielkoludami. — To wy towarzyszu nie bardzo wiecie jak sobie poradzi Niedziela, ale zapewne lepiej wiecie, jak sobie zamierzają poradzić z nim kułacy. Opowiedzcie nam, to ciekawe.

— Bardzo Wam dziękujemy, towarzyszu, za te objaśnienia. Skoro mamy agitować na Waszej gminie dobrze jest o niej, co należy, wiedzieć. A Wy jak się okazuje, wiecie i rozumiecie wcale nie mało. Powiadacie, że kułacy mają świadomy trzon. Wyraźną taktykę prowokacji, którą chcą do oporu wciągnąć jak najwięcej średniaków. I na tym polega niezwykłość sytuacji w gminie Mroczna?

Zgadzam się z towarzyszem Sieradzkim. ...Sieradzki, prawda? Zgadzam się z Wami, że w Mrocznej kułacy umyślili wywołać sztucznie Gryfice. W Bełdowie, skąd przybywamy również przyświecał im ten cel. Tam jednak mieli bogacze inną taktykę. Pod pewnymi względami o wiele bardziej perfidną. U Was głoszą jawny opór. Tam byli jezuitami. Sami parli do zebrań gromadzkich i pierwsi występowali, wiecie z jakimi przemówieniami? Wojcieszek w Zleszynie mówił mniej więcej tak: „Ludzie. przecie zrozumcie, że Polska jest jeszcze zniszczona po wojnie, nie może być zaraz tak dobrze jak byśmy chcieli. Musimy, pracować, aby zapewnić chleb robotnikowi, który oddaje wszystkie swoje siły na rozwój naszego, przemysłu". A kułak Stępniak w Szczycie wzniósł okrzyk: „Nie dajmy się zawstydzić". To była zasłona dymna. Pod tą zasłoną chcieli się wkupić w życzliwą opinię biedoty i średniaków. A po co? Po to, żeby nie wypełniając zobowiązań związać ręce Radzie Gminnej i masom chłopskim. Jakże na nich z grzywną, jakże z egzekucją? Przecież sami agitowali, prędzej czy później oddadzą. Tak to przekradał się wilk w owczej skórze. Czy wiecie, że Wojcieszek z przypadających na niego 70 q zboża, a Stępniak z 68 q do 16 października nie oddali jeszcze ani ziarenka? Perfidność ich taktyki polegała na tym, że swoim hurra - patriotycznym gadaniem od miesięcy wszywali się w jedność gromadzką i gminną, o to im szło. Wiedzieli bowiem, jak trudno potem będzie tę faryzeuszowską jedność spruwać. Ile wysiłku agitacyjnego, ile zebrań, żeby zdemaskować szczwanych aktorów. Kułacy liczyli na to, że do czasu ostatniego terminu dobrze są zabezpieczeni w opinii publicznej przed karą lub egzekucją. A w ostatnim terminie skup wypełniony z nadwyżkami przez mało i średniorolnych, ich już ominie. Machną na nich ręką.

Kiedy tę taktykę zrozumieli ludzie, ich agitacja, ich siła moralna przyśpieszyła wykonanie zobowiązań u średniorolnych i tak osaczyła kułaków, że jedni, nie chcąc tracić ostatnich szans powiązania z gromadą, sprzedali wreszcie zboże, kartofle i popłacili podatki, na innych zaś grzywny spadły już nie jako martwa litera prawa, ale jako nakaz władzy rozgniewanego ludu.

Niski i krępy człowiek zamilkł na chwilę, rozejrzał się uważnie po sali i nagle przechyliwszy się zapytał wesoło.

— No, cóż towarzyszu Sieradzki, czy dostrzegacie już teraz, co stanowi niezwykłość sytuacji w Mrocznej, a o czym wyście nam dotąd jeszcze nie powiedzieli?

— Dorozumiewam się. O ten lud zagniewany wam idzie, co?

— Ano, właśnie. Jak wygląda sytuacja w Mrocznej? Dwie trzecie gospodarzy oddało już zboże na skup. W jakich warunkach? Z jednej strony przy kilku sołtysach, którzy sami nie wypełnili zobowiązań i przy słabej agitacji organizacyjnej. Z drugiej strony przy krzykactwie i awanturnictwie kułaków. Zostało do wypełnienia ponad połowę planu i bój się teraz toczy o trzon średniaków i resztę małorolnych. Tak, bój się toczy, ale rzecz w tym, że z jednej tylko strony, ze strony kułaków. A dwie trzecie gminy, sumiennych obywateli, którzy bez narad i agitacji wypełniło swój obowiązek, śpi teraz snem błogim. A jeśli nie śpi to czeka na pojedynek Niedzieli z kułakami. I z góry już przewiduje niedobry koniec.

Towarzysze! Z tego co tu usłyszałem, wynika, że kułacy w waszej gminie prowadzą politykę jawnego oporu. Wołają o Gryficach, aby wywołać Gryfice. Gryfickie oderwanie władzy ludowej i ogniw partii od mas chcą zastąpić w waszej gminie oderwaniem mas od władzy ludowej i partii.

Dałeś chłopie zboże na skup **cicho**, to i nadal siedź **cicho** a my pohulamy z władzą i pełnomocnikiem.

Towarzysze! Czy to prawda, że wyście po cichu sprzedali państwu zboże? Nieprawda. Nie ma dnia, aby robotnicy nie czytali w gazetach liczb i nazw powiatów, gmin, wsi, nazwisk waszych przodowników, godnych tego tytułu, aby co dnia gośno nie mówili o dowodach z waszej strony rosnącego sojuszu robotniczo - chłopskiego, godnego rosnącej pracy i trudów klasy robotniczej, która w naszym kraju ruszyła z posad stary świat nędzy, ciemnoty, wyzysku i nie pozostawi z niego kamienia na kamieniu.

Towarzysze! Czy prawdą jest, że nadal będziecie siedzieć cicho? Wy, którzy macie słuszne prawo uważać się za prawdziwych obywateli, za patriotów naszej ojczyzny? Czyjże to głos ma się po Polsce roznieść? Czyj głos rozstrzygać o naszym życiu? Na czyich głosach ma się opierać władza ludowa?

Towarzyszu Sieradzki, powiedzcie teraz, co należy czynić?

— A no, zorganizować się z tymi, co już swoje obowiązki wypełnili. Mamy prawo być dumni, a im nas więcej, tym większa duma. Kto praworządnie wypełnia obowiązki, ten ma prawo rządzić. To i porządzimy, aby mniejszość dostosowała się do większości. A jak praktycznie radzicie?

— Trzeba pójść dwoma drogami. Jedna to zebrania wszystkich organizacji, jakie są u was we wsi. Sprawdzić członków i podciągnąć zalegających. Z organizacji ustalać codziennie grupy agitatorów do określonych gospodarzy. I agitować! Bez przerwy. Codziennie zdawać meldunki do Rady Gminnej.

Druga droga — to zebrania pełno - gromadzkie. Tam wielkością i mocą tych, którzy oddali, napierać na pozostałych.

Pamiętajcie, że bój idzie w pierwszym rzędzie o dużą grupę średniaków. Kułacy, jeśli chcą, doczekają się ryzykownego końca. Ale nie oszukają i nieskaptują średniaków, jeśli wy masowo pójdziecie ich ratować. Kułakom też zrzednie mina. Ot, taka Rutkowska. Kiedy chłopi powiedzą do oczu, że POM wymłócił jej 85 q żyta, że służąca, którą wypędziła, widziała u niej 6 futer, że gdyby tak napisać listy do jej dwu córek, które skończyły już studia, a syn właśnie kończy uniwersytet — zobaczycie, że baba ustąpi. Złodziej kradnie, ale nie lubi, jak świat zna cenę ukradzionych rzeczy. Trzeba chłostać wstydem. Trzeba prać faktami, które obnażają kułaków i spekulantów.

Kalendarzyk waszej akcji zacznijcie od jutra. Przed południem organizacje, po południu zebranie gromadzkie. I stawiajcie sobie określone zobowiązania. A jeśli idzie o dzisiejszy wieczór, to ten nam chyba też nie przepadł. Co nam powie tych piętnastu, którzy się jeszcze nie wywiązali? Do środy będziecie czyści?

14 rąk podniosło się w górę. Zabrzmiały brawa. Ktoś krzyknął.

— A co będzie miał do roboty Niedziela?

— Będzie robił to, co w gminie Bełdów, kontrolował akcję, którą wy poprowadzicie.

W tej chwili, jeden z bełdowskich wąsali wziął pod ramię niskiego i krępego mówcę i zawołał donośnie.

Ludzie kochani, to jest towarzysz Niedziela ,robotnik ze Zgierskich Zakładów Przemysłu Welnianego.

*

W post scriptum tego reportażu podajemy do wiadomości, że metoda tow. Niedzieli dała następujący wynik: Od 20 października do 10 listopada na skup w Mrocznej zwieziono 155 ton zboża, tzn. więcej niż w ciągu osiemdziesięciu dni od rozpoczęcia akcji skupu. Najdłużej opierali się Momotko i Bełdowski.

BolesławLesman i Andrzej Smoleń

CHARLES DOBRZYŃSKI

W OGRODACH MICZURINA

(Fragmenty poematu pt. „Laboratorium Nadziei")

W ogrodach Miczurina
widzę starca czerstwego w pasiece
który zbiera miód równań i cudów
Widzę starca który wyrywa
plagę wraz z korzeniami
nienawiść i posuchę
błędy Mendla — naukę
burżuazji utwierdzonej
w niemocy wobec życia.
Widzę starca który naucza
jak cementować marzenia

W ogrodach Miczurina
trzeba było na samym początku
walczyć z wiatrem i wodą
bo nie chciały zrozumieć
ścisłej klasowej wiedzy
Chłopie jedynym twym prawem
było oglądanie konających gwiazd
pod ciężką stopą kapitału

W ogrodach Miczurina
przyszłość dojrzewa przed czasem
Pod planetarną korą usta
do śpiewu układają się
Błękitne pęcherzyki deszczu
drzewo i pamięć zasilają
A serce jest tu ojcowizną
dla szczęśliwości dla czystości

W ogrodach Miczurina
równiny to orkiestry
gitary wśród pól zbożowych
Jak dobrze było pod wieczór
w pobliżu wielkiej elektrowni
wyśpiewywać do utraty tchu
Pomnaża się czas pokoju
dalekim zasięgiem owoców

W ogrodach Miczurina
muzyka pszczół
spowija każde piękno
Palma zalesia czasy
Owoc odziewa dzieci
Materia staje się lepszą
Cisza barwy nabiera
Wszystko tu szersze prawdziwsze

W ogrodach Miczurina
poranki są takie nagłe
że ledwie zauważane
Oto wykresy daleko
odbiegły już dzień wczorajszy

Szybkość jest pięciolatki
perłą każdego istnienia
sekret pęknie niebawem
jak pęka dojrzały kawon

W ogrodach Miczurina
Partia znaczy ojczyzna
użyteczna i tyle mówiąca
Wszystko do partii się zwraca
Dialektyka kieruje biegiem
meteoru realnych zjawisk
przebudzeniem kwiatów i rzek
sercami i maszynami
Wszystko ku życiu się zwraca
jak woda rzeczna ku morzu

W ogrodach Miczurina
Socjalizm jest uśmiechem
rymuje konary drzew
Socjalizm jest pożywieniem
dla tych co płoną i myślą
Socjalizm zwalcza śmierć
Socjalizm mury obala

W ogrodach Miczurina
gdzie przyroda jest polityczna
człowiek swój złoty wiek ustala
Trwanie już jest zbyt łatwe
trzeba pójść dalej i wyżej
W walce nowego ze starym
wszystko się przeobraża
Dojrzały owoc blask swój śle
z laboratorium do kołchozu

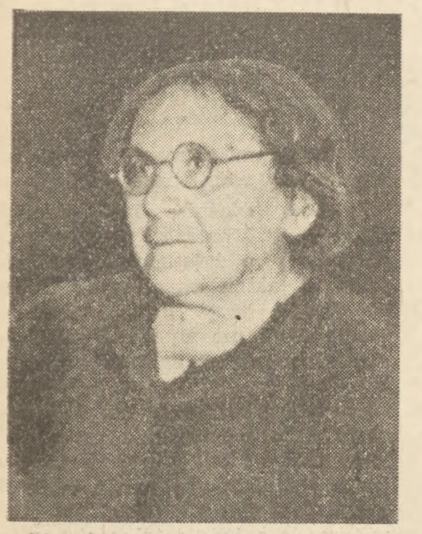
W ogrodach Miczurina
wiedza uzupełnia zmysły
Chłopi wraz z uczonymi
każą nadziei w trawie rosnąć
Przeszłość przestała być ciężarem
i człowiek pełnouprawniony
rozprawia o piękności słońca

W ogrodach Miczurina
jutrzejsze dni królują już
Człowiek się zbliża niosąc w dłoniach
przejrzystą lampę świadomości
Zapisuje krwi swojej tętnem
owoce wszelkie. Użyźnia
pustynię chmurę i wiatr
Jest siebie samego panem
Przemienia jasność na trwałą
napędową dla szczęścia siłę

z francuskiego przełożyła
WISŁAWA SZYMBORSKA

HANNA KIRCHNER

NA PIERWSZEJ



Melania Kierczyńska

Walcząc od kilku lat o nową treść kultury, biliśmy się także o nowe, inne niż dawniej pojmowanie zadań krytyka, o zrozumienie, iż jego funkcja ma charakter zdecydowanie polityczny, że rola jego w warunkach społeczeństwa socjalistycznego jest szczególnie doniosła. Nie specjalista od handlowej reklamy, nie sztukmistrz z impresjonistycznego iluzjonu, pokazujący szerokiej publiczności spreparowane przez autorów formalistyczne cuda, nie apologeta burżuazyjnych gustów i interesów, ale polityk kultury, służący masom ludowym, walczący nie tylko o nową literaturę, ale i o nowego czytelnika, mądry, surowy i konsekwentny strateg walk o socjalistyczną świadomość — oto postulat naszej współczesności.

Chodziło także o to, aby krytyka nie sprowadzała się wyłącznie do rejestracji zalet i wad, do beznamiętnej, „teoretycznej", „akademickiej" analizy, nawet przeprowadzonej jak najbardziej prawidłowo z punktu widzenia metodologii marksistowskiej. Artykuły krytyczne powinny nie tracić nigdy z oczu czytelnika, zbliżać mu książkę, wykazywać jasno ścisły związek zalet i błędów książki z rzeczywistością pracy i walki, w jakiej żyje czytelnik.

Ważność problemu krytyki bywała wielokrotnie podnoszona w najróżnorodniejszych dyskusjach i wypowiedziach o literaturze. Jak poważne i trudne do odrobienia błędy, powstawały na skutek niedoceniania wagi tego zagadnienia, świadczą o tym najlepiej słabości i wady naszej literatury, jej opóźnienie w stosunku do zachodzących przemian. Szereg artykułów krytycznych lub lektura książek z zakresu krytyki sprzed dwóch lat, a nawet sprzed roku, unaocznia zawarty w nich szereg błędnych koncepcji, chaos metodologiczny, skrzywienia polityczne.

Wprowadzenie po Zjeździe Szczecińskim kryterium realizmu socjalistycznego pozwoliło wyprowadzić krytykę z mętnych wód formalizmu, socjologizmu, czy po prostu eklektyzmu i ściśle określić zasady, na których ma się opierać. Z biegiem czasu precyzowano coraz wyraźniej podstawy estetyki marksistowskiej.

Proces ten nie postępował szybko. Jeszcze długi czas po uchwałach szczecińskich na obrazie ideologicznym naszej krytyki leżał cień odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego. Nowe domy, nowe zakłady przemysłowe powstawały szybciej niż nowa krytyka. Dziś jeszcze, mierząc długość skoku, jaki uczyniliśmy od pierwszych lat powojennych, do osiągnięć roku 1951, nie możemy zapominać o odległości, jaka nam pozostaje.

Dwa zbiory artykułów krytycznych Ryszarda Matuszewskiego: „Literatura po wojnie" i „Literatura na przełomie" stanowią bardzo dobrą egzemplifikację tego procesu wzrostu naszej krytyki, zawierają niejednokrotnie cechy typowe dla okresu, w którym były pisane. Druga z tych książek „Literatura na przełomie", odznaczona nagrodą państwową, jest poważnym osiągnięciem w dopracowywaniu się przez naszą krytykę słusznego i niezawodnego systemu ocen. Nie znaczy to jednak, by nie zawierała przy tym pewnych błędów, które ciążą na krytyce współczesnej. Jest to sprawa tym poważniejsza, że Ryszard Matuszewski zajmuje dziś stanowisko czołowego krytyka literackiego. Jego potknięcia nabierają zatem wyjątkowej wagi i reprezentatywności.

Drugą, cenną pozycją krytyczną, jaka ukazała się niedawno na półkach księgarskich jest książka Melanii Kierczyńskiej „Spór o realizm". Znaczenie tej książki jest szczególne nie tylko ze względu na jej doniosłą zawartość, ale także dzięki temu, że prawie wszystkie zebrane w niej artykuły powstawały w latach 1946—49, a więc wtedy, gdy żaden bodaj z dzisiejszych krytyków marksistowskich nie mógł się wykazać taką jasnością i precyzją analizy ideologicznej utworów literackich. W książce Kierczyńskiej nie znajdziemy zatem cech typowych dla naszej krytyki sprzed r. 1949. Te świetne z wielu względów artykuły w czasach, kiedy były pisane, odbiegały daleko od przeciętnego poziomu naszej krytyki, wybiegały, rzec można, w przyszłość.

Pierwsza z książek Matuszewskiego „Literatura po wojnie" ogniskuje w sobie charakterystyczne cechy zmierzającej do marksizmu krytyki tego okresu. Brak mocnego kośćca metodologicznego (którego nie mogła zastąpić nawet „socjologiczna konstrukcja losu ludzkiego") szedł w parze, a kto wie, czy nie determinował, zawiłości, niejasności formy. Faktem jest że artykuły z tomu „Literatura po wojnie" są często ledwie czytelne, przeładowane skomplikowanymi okresami i obcymi terminami. Była to krytyka, mówiąc najogólniej, wierząca autorowi na słowo. Zdawało się, iż krytyk przeprowadza swoją staranną i drobiazgową analizę po to, aby dopełnić autora, powiedzieć to, czego on nie zdążył. Widać to szczególnie wyraźnie w recenzjach z książek Adolfa Rudnickiego, gdzie mimo protestów, krytyk ulega w końcu „trującemu czarowi" artyzmu pisarza, odpuszczając mu, chcę nie twierdzę, że z lekkim sercem idealistyczne grzechy.

W szeregu tych artykułów trafne uwagi, oparte na subtelnej analizie, nie prowadziły do klasowej interpretacji utworu, do szerszych uogólnień ideologicznych. Termin „realizm", którego Matuszewski czasem używał, był rozumiany wieloznacznie i używany bardzo dowolnie.

Toteż kryterium tego, tak niesprecyzowanego realizmu, często zawodziło i dawało dość wątpliwe wyniki. To dopiero w r. 1949 pojęcie realizmu socjalistycznego pozwoli bez wahań i potknięć określić funkcję społeczną literatury współczesnej i klasowe determinanty jej braków i błędów.

To pozwoliło także nie tylko kwitować osiągnięcia, ale i domagać się ich, postulować, zaostrzać kryteria oceny. Krytyka musiała stać się czujna i bojowa w nieporównanie większym stopniu, niż było to możliwe na etapie „Literatury po wojnie".

Następna książka Matuszewskiego: „Literatura na przełomie" jest dużym skokiem naprzód, reprezentuje nowy, wyższy etap rozwoju naszej krytyki i, co za tym idzie, samego autora. Zbudowanie systemu ocen na zasadach materializmu dialektycznego, wykrystalizowanie pojęć metodologicznych, ujęcie ich w ramy realizmu socjalistycznego odbiło się w sposób niezwykle wyraźny na formie artykułów Matuszewskiego. Odznaczają się one — w stosunku do „Literatury po wojnie" — nieporównanie większą prostotą, przejrzystością i precyzją. Właściwe Matuszewskiemu, który jest jednym z kilku zaledwie czołowych naszych krytyków, zalety uległy w tej książce spotęgowaniu, zwłaszcza w kilku szczególnie celnych, odkrywczych i doskonale napisanych artykułach. Najlepszym z nich jest niewątpliwie zamieszczony na czele książki obszerniejszy szkic o Broniewskim. Wnikliwe odczytanie ewolucji ideowej poety, wyznaczenie dynamiki jego twórczości, umiejętne zrównoważenie ideowych i artystycznych sprzeczności w dorobku twórczym Broniewskiego, szczęśliwie dokonana próba zanalizowania właściwości artystycznych tej poezji pozwoliły Matuszewskiemu na pokazanie w ramach nawet tak krótkiego szkicu wielkości i donioslej funkcji społecznej twórczości Broniewskiego. Język tego szkicu jest szczególnie prosty i piękny — wydaje się, że tę właściwość, którą autor dopiero sobie przyswaja, winien zachować na stałe, rozwinąć i pogłębić. Zbliżyłaby ona wydatnie do masowego czytelnika świetne artykuły Matuszewskiego.

Szczególnie cennym walorem pewnych szkiców krytycznych Matuszewskiego jest umiejętność wychwytywania treści filozoficznej, klasowej w środkach formalnych. W niektórych artykułach, np. o poezjach Jastruna czy Kubiaka, widać jak postulat jedności treści i formy jest dla autora drogowskazem, prowadzącym do rzadkich w naszej krytyce osiągnięć.

Nie znaczy to, że we wszystkich artykułach zawartych w zbiorze Matuszewski posługuje się równie szczęśliwie precyzyjną analizą ideologiczną środków artystycznych. W niektórych szkicach umie on ogólne postulaty marksistowskiej krytyki sprawdzić na indywidualnych przykładach, trafnie egzemplifikując przy ich pomocy typowe dla „choroby wzrostu" naszej literatury wady i zalety (artykuły syntetyczne o współczesnej poezji i prozie), odkryć ideowe przyczyny braków i błędów artystycznych. W szeregu recenzji Matuszewski stawia, choć nie zawsze rozwiązuje, szereg zagadnień kluczowych dla rodzącej się literatury realizmu socjalistycznego — np. zagadnienie poezji socjalistycznej w treści — narodowej w formie, polityczności poezji, języka poetyckiego (na marginesie artykułu o peozji W. Woroszylskiego pt. „Poezja w służbie polityki"), zagadnienie tak istotne dla nowej prozy jak problem pozytywnego bohatera („Drogi nowej prozy"), problem publicystyki („Igraszki uczonego dowcipu") czy wreszcie ważne sprawy polityki kulturalnej („Pisarz wśród czytelników").

Trudno z braku miejsca omówić konkretnie wszystkie osiągnięcia prac krytycznych Matuszewskiego. Jak już powiedziałam, dokumentują one nie tylko osobisty talent autora, ale i rozwój naszej krytyki, której Matuszewski jest wybitnym przedstawicielem. Po drodze do socjalistycznej w całej pełni krytyki, do najwłaściwszego rozumienia funkcji społecznej krytyki Matuszewski idzie jeden z pierwszych. Tym też tłumaczy się fakt, iż książka jego uzyskała nagrodę państwową. Nagroda ta podkreśliła, jaką wagę przywiązują organizatorzy naszego życia kulturalnego do spraw krytyki.

Podkreślałam niejednokrotnie, że zbiór szkiców krytycznych Matuszewskiego jest z wielu względów zjawiskiem reprezentatywnym. Dlatego też czytając „Literaturę na przełomie" trudno przezwyciężyć chęć do polemik z autorem, do snucia na marginesie jego prac wniosków pozostających w ścisłym związku z problematyką całej naszej krytyki współczesnej.

Pewne np. właściwości, powiedziałabym formalne książki Matuszewskiego mają swój głęboki rodowód w charakterystycznych dla naszej krytyki błędach.

Autor nie spełnia całkowicie zapowiedzi danej w tytule brzmiącym „Literatura na przełomie". Tytuł ten bowiem, sugerując naczelną problematykę książki, każe oczekiwać obrazu narodzin nowego w naszej literaturze, słowem, podporządkowania wszystkich, zawartych w zbiorze analiz szczegółowych tej zasadzie głównej. Tymczasem książka czyni wrażenie dość przypadkowego zbioru recenzji, gdzie na wiele z nich w tego rodzaju książce i przy tym tytule nie powinno się znaleźć miejsca. Luźne powiązanie z podstawowym, „historycznym" tematem zawartym w tytule zdezaktualizuje prawie połowę tych rozpraw. (Np. „Kompleks antyinteligencki", „W kręgu przeżyć żołnierza i jeńca" itp.). Na stronie 237 swojej książki Ryszard Matuszewski pisze tak: „Otóż to: brak — absolutny brak książki krytycznej, wprowadzającej czytelnika w sposób popularny w całokształt zagadnień naszej współczesnej literatury". Od krytyka tej miary należy domagać się przynajmniej częściowego spełnienia własnego postulatu. Zapowiedź nęcącą w tytule winna być w książce realizowana poprzez odpowiednie opracowanie, poszerzenie i pogłębienie pojedynczych recenzji, czy nawet dopisanie całych nowych partii. Wydaje się, że artykułem najbardziej godnym problematyki, obiecanej w tytule, godnym książki, jakiej oczekujemy od jednego z najwybitniejszych naszych krytyków jest istotnie piękny szkic o Broniewskim, który omawiając rewolucyjne tradycje naszej socjalistycznej poezji stawia jeden z ważkich problemów przełomu literackiego.

Rzekło się, że wyżej wymienione pretensje są natury formalnej. Błędy te jednak mają głębsze źródło w pewnym braku czujności naszej krytyki, w jej leniwym, nie dość aktywnym i bojowym stosunku do współczesności. Krytyk nie może, nie wolno mu być tylko biernym rejestratorem. Jako polityk kultury musi wybiegać często naprzeciw nowym zjawiskom, podchwytywać problemy ważkie i groźne, alarmować, żądać, pokazywać pisarzowi wciąż nowe i szersze horyzonty.

Gdy przegląda się recenzje w pismach literackich uderza nawet w najlepszych, najbardziej starannych — dziwna słabość, nieśmiałość. Krytyka boi się uogólnień, postulatywności, choruje na ogólny niedowład ocen literatury realizmu socjalistycznego, z największą pasją atakuje i rozgryza utwory dalekie od naszego pojmowania socjalistycznej literatury i czeka, aż będzie-

STANISŁAW GRZELECKI

POCHWAŁA NOWEGO ŻYCIA



Scenariusz: B. Gorbatow i W. Aleksiejew, reżyseria: L. Łukow, zdjęcia: Al. Kiriłłow, muzyka: T. Chrennikow. Wykonawcy: Stalin — Gełowani, Gorodowoj, dyrektor kopalni — W. Merkuriew, Stiepan Niedola — B. Czirkow, Lidia — K. Łuczko, Trofimienko, konstruktor — W. Drużnikow, Wasia — P. Alejnikow. Film barwny wytwórni im. Gorkiego, odznaczony Nagrodą Pracy na VI Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Karlowych Varach.

W jednej z sal warszawskiego Muzeum Narodowego wisi słynny obraz Ferdynanda Ruszczyca zatytułowany „Ziemia". Obraz ten zwraca uwagę zwiedzających swą treścią i swym nastrojem, które wielu, zwłaszcza młodych widzów, uderzają kontrastem ze znaną im rzeczywistością. Pod chmurnym, ciężkim, jakimś bezlitosnym niebem, chłop parą wołów orze ziemię. Człowiek jest mały wobec nieba i wobec ziemi. Ten sam łuk wysiłku zgina jego grzbiet, co i grzbiety popędzanych batem wołów. Ani jeden promień słońca nie rozjaśnia obrazu. Mroczna była dola człowieka walczącego o chleb prymitywną techniką, wytężoną pracą mięśni. Z obrazu wieje pesymizm. Dziewczęta i chłopcy, zwiedzający muzeum, stają przed tym obrazem cicho, zadziwieni. W muzeum wśród śladów przeszłości odnajdują dziś obraz tego, co ich ojcowie dobrze znali z osobistego doświadczenia. Dziś coraz częściej na polach widują traktory, w miastach windy podnoszące tony cegieł na coraz wyższe piętra nowych domów, a w portach — wielkie urządzenia wysypujące węgiel z wagonów, jak piasek z dziecinnych zabawek. Technika, służąca człowiekowi, uwalniająca go coraz częściej od wysiłku mięśni, posłuszna jego kierowniczej woli stała się składnikiem naszej rzeczywistości, naszego otoczenia, tak powszednim, że często — nie dostrzegamy jej, przyjmujemy jak coś najbardziej zwykłego.

I dobrze jest czasem zdać sobie sprawę z szybkości naszego postępu, by tym pełniej cieszyć się świadomością uczestniczenia w tworzeniu tego postępu. Na ekrany naszych kin wchodzi film, pobudzający do takich refleksji, pomagający zrozumieć wspaniały sens naszych dni, naszego życia, które jest według słów bohatera Ażajewa „Daleko od Moskwy" „pełne nieustannego działania i odpowiedzialności wobec historii, bezinteresowne i bogate w swej istocie, choć czasem biedne w drobiazgach".

Film, o którym mowa, to „Donieccy górnicy" reżysera Łukowa. Pięć lat temu Łukow stworzył film „Wielkie życie" (II seria) również poświęcony górnikom Zagłębia Donieckiego. Był to film nieudany. Słynna uchwała KC Partii wskazała na jego błędy, fałszujące obraz rzeczywistości. Film nie wszedł na ekrany. „Donieccy górnicy" są dziełem wolnym od takich błędów, choć nie jest to dzieło doskonałe. Bogactwo ideologicznej treści, trafność obserwacji, ogólna tendencja, prawdziwy humanizm zawarte w temacie nie przemówiły głosem najpełniejszym. Reżyser w niektórych miejscach nie wyszedł poza granice reportażu. Widać to w scenach walki o usprawnienie kombajnu węglowego, a szczególnie w zakończeniu filmu. Niemniej przeto „Donieccy górnicy" jest to film, który zbliża się do artystycznego odbicia zjawisk kształtujących nasze życie.

Słusznie zwraca uwagę Jerzy Płażewski, omawiając film w „Życiu literackim", iż bohaterzy „Donieckich górników" są typowymi, lecz nie „statyczni", a konflikty są „gatunkowo różne od znanych dotychczas, bo zrodzone w warunkach społecznych, jakich nigdzie dotąd nie było". Są to konflikty nie antagonistyczne. Tkwią w nich bodźce rozwoju, siły twórcze, a nie rozkładowe. Ludzie przeżywają konflikty nie jako wynik własnej niezgodności z życiem, z otoczeniem, nie dlatego, że warunki i okoliczności są sprzeczne z ich pragnieniami i dążeniami, że je hamują. Konflikty owe wynikają raczej z konieczności dokonywania wyboru między równymi możliwościami, z pragnieniami najpełniejszego wykorzystania własnych sił dla dobra ogółu, z uczciwie socjalistycznego stosunku do pracy. Czasem jednak źródłem konfliktów bywa po prostu brak dostatecznie rozwiniętej świadomości, źle pojęta ambicja.

Szczególnie sympatyczna jest w filmie „Donieccy górnicy" postać dyrektora kopalni, Gorowoja. Gorowoj, stary górnik, bogaty w doświadczenie życiowe i znajomość zawodu, awansował na kierownicze stanowisko, podobnie jak tysiące robotników dzięki osobistym zdolnościom i rzetelnemu, prawdziwie bolszewickiemu stosunkowi do pracy. Aktor W. Merkuriew, grający rolę Gorowoja, uczynił tę postać bardzo plastyczną, żywą, prosto i szczerze przemawiającą do widza.

Gorowoj, w chwili wspaniałego rozkwitu kopalni, którą kieruje, w chwili, gdy mechanizacja pracy

ZDZISŁAW WRÓBEL

ALEKSANDER SERAFIMOWICZ

1.

W ubiegłym roku ukazały się w polskim przekładzie aż trzy książki Aleksandra Serafimowicza: wydana już po raz trzeci powieść „Żelazny Potok", dwa tomy najlepszych jego opowiadań[1]). Skłania nas to do zastanowienia się nad całokształtem twórczości znakomitego powieściopisarza i nowelisty radzieckiego, bogatej tematycznie, służącej pokoleniom pisarzy jako przykład marksistowskiego opanowania sztuki pisarskiej.

Aleksander Serafimowicz (ur. w r. 1863) rozpoczyna swoją pracę pisarską w latach 90-tych ubiegłego stulecia. Jest to okres, w którym szybko rozwija się przemysł Rosji i jednocześnie rosną siły proletariatu, zdecydowanie wkraczającego na drogę zorganizowanej walki, na drogę masowych wystąpień przeciw uciskowi i wyzyskowi. Po rozgromieniu przez Plechanowa i Lenina narodnictwa, umacniają się i rozszerzają swoją działalność liczne kółka marksistowskie, które stają się pierwszymi zalążkami rewolucyjnej partii proletariackiej.

Wśród licznych prądów ideowopolitycznych, ścierających się podówczas między sobą, należy wyróżnić trzy zasadnicze kierunki opowiadające się za Leninem: liberalno-burżuazyjny, drobnomieszczańsko-demokratyczny i proletariacko-rewolucyjny[2]). Kierunki te znajdują także swoje odbicie w literaturze.

Już pierwsze opowiadanie Serafimowicza (opublikowane w latach 1889 — 1901) stawiają go w rzędzie pisarzy proletariackich. Była to zrozumiała konsekwencja jego dotychczasowej postawy ideologicznej. W gimnazjum czytał Serafimowicz książki rosyjskich rewolucjonistów-demokratów: Czernyszewskiego, Dobrolubowa, Hercena, które zasiały w umyśle chłopca pierwsze ziarna postępowych idei. Na Uniwersytecie Moskiewskim światopogląd jego zarysował się jeszcze wyraźniej. Serafimowicz zapoznał się z „Kapitałem" Marksa, zaprzyjaźnił się z bratem Lenina Aleksandrem Uljanowem, który organizował zamach na cara Aleksandra III. Po wykryciu spisku — także Serafimowicza, który był autorem proklamacji rewolucyjnej, spotkała kara — został zesłany na 3 lata do Mezenia nad Białym Morzem. Stamtąd wyszły w świat pierwsze jego utwory.

2.

Serafimowicz zaczął twórczość literacką od krótkich opowiadań i szkiców i, chociaż w okresie późniejszym pisał także powieści i sztuki sceniczne, to zawsze jednak opowiadanie pozostało jego ulubioną formą literacką, w której doszedł do doskonałości równej chyba Czechowowi. Największa ilość opowiadań Serafimowicza została napisana i opublikowana przed pierwszą wojną światową. Pomimo trudności cenzuralnych i otwartych prześladowań ze strony policji carskiej potrafił Serafimowicz zachować w nich oblicze pisarza — rewolucjonisty, smagającego bezlitośnie gnijący ustrój kapitalistyczny. Bohaterami przytłaczającej większości tych opowiadań są przedstawiciele „nizin społecznych": górnicy, kolejarze, robotnicy niewykwalifikowani, chłopi bezrolni, rybacy. Autor pokazuje najokrutniejsze, krańcowe formy wyzysku klasowego, który doprowadza ludzi do ostatecznego wyczerpania i śmierci, lub zatraca w nich wszelkie wartości moralne. Obraz człowieka — ofiary ginącej pod niemożliwym do zniesienia brzemieniem eksploatacji jest często spotykanym motywem w opowiadaniach Serafimowicza z tego okresu. „Zwrotniczy", przemęczony pracą ponad siły, wpada pod koła lokomotywy, a żona jego wraz z dziećmi zostaje w sytuacji bez wyjścia, bo administracja kolejowa nie daje odszkodowania: — „Twój mąż zginiął przez własną nieostrożność". „Zecer", zwolniony z pracy, kończy samobójstwem; Antip, zatrudniony przy wywożeniu nieczystości, z opowiadania „Zając", który na gapę chciał pojechać parostatkiem do umierającej żony, dręczony przez załogę statku, skacze do wody.

Opowiadania „Mały górnik" i „Kawka" demaskują potworny wyzysk dziecka w ustroju kapitalistycznym. Nędza zmusza górnika do wysłania swego niepełnoletniego syna do pracy w kopalni, w okresie świątecznym, przy pompowaniu wody. *„Kawka"* — to siedmioletnia dziewczynka, mizerna, niedorozwinęta, oddana do pracy w fabryce korków. Zrywa siły nosząc paki z korkami do składu. Nie ma ani chwili spokoju. W oczach dwoją się jej i troją krwawe kręgi, kolana drżą, a wieczorem pada wyczerpana na wiązkę słomy, leżącą w kącie dla niej przeznaczonym. Cierpienia rodzą w sercu dziewczynki bezgraniczną nienawiść do wyzyskiwaczy, która koncentruje się bezpośrednio na osobie majstra Johanna i wybucha pewnego dnia w napadzie na obrzydliwego kata robotników. Życie Kawki ulega przeobrażeniu, gdy zostaje wciągnięta do pracy konspiracyjnej. Chociaż jej na razie nie rozumie, to instynktownie czuje słuszność i potrzebę tej walki.

W dłuższej powieści *„Halina"* przedstawia Serafimowicz wstrząsający obraz przedrewolucyjnej wsi rosyjskiej. Na tle masy chłopskiej, pogrążonej w nędzy i ciemnocie, pustoszonej przez choroby, kreśli pisarz sylwetki liberalnych działaczy wiejskich: lekarza i nauczycielki. Nauczycielka Halina, tak obca początkowo w tym środowisku, bezradna nawet w pracy z dziećmi, wciąga się powoli do tego życia, pomaga ludziom, wczuwa się w ich położenie, troski i kłopoty. Ale czy poświęcenie jednostek może polepszyć dolę ludu? Oczywiście nie. A czy wśród chłopów obudzi się siła, która pomoże im zrzucić z siebie jarzmo ucisku? W to także autor jeszcze nie wierzy. Pokazuje on chłopów jako jednorodną, otępiałą, bezwolną masę, w której nie widać jeszcze przebłysków świadomości rewolucyjnej. Seminarzysta, który myślał o uniwersytecie, przystojny młodzieniec, „wzniosłych" ideałów i marzeń, w zapadłej, odciętej od świata wiosce staje się zwykłym „handlarzem zbawienia", pasożytem, żerującym na i tak już ginącym z głodu chłopie. I jeszcze jedna postać w tym utworze zasługuje na uwagę — Nikifor Łukicz, „dobroczyńca" wsi, której klasowe rozwarstwienie ukazał Serafimowicz z dużą przenikliwością. Jest to chłop, który na dostawach dorobił się majątku, a w końcu stał się jedynym posiadaczem ziemi w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Najokrutniejszy wyzyskiwacz, który zagarnia cały nędzny dochód jako opłatę za dzierżawę ziemi, w rodzinnej wsi czczony jest jako „dobroczyńca", bo postawił cerkiew, bo opiekuje się szkołą, bo popu daje darmo ziemię pod ogród warzywny.

Do najbardziej udanych opowiadań Serafimowicza trzeba zaliczyć *„Piaski"*, opublikowane w r. 1908. Lew Tołstoj, który zalety czytanych utworów oceniał systemem pięciostopniowym, napisał przy tym opowiadaniu „5 +". Autor postawił sobie za cel, jak sam o tym później pisał, pokazać w „Piaskach" siłę poczucia własności u chłopa, zrodzone z obawy przed nędzą, niewolnicze przywiązanie do skrawka ziemi, czy domu, które zabija w człowieku wszystkie najlepsze uczucia. Biedna wyrobnica, młoda silna, zdrowa, wychodzi za mąż za zgrzybiałego starca w nadziei, że gdy on rychło umrze, zostanie właścicielką młyna. Lata mijają, a starzec nie myśli umierać. Kobieta spostrzega, że jej młodość już minęła bezpowrotnie, popada w rozpacz dręczy siebie i męża, aż wreszcie truje go. Teraz ona z kolei przykuwa do siebie młodego parobka, roztaczając przed nim nadzieję posiadania młyna po jej śmierci. I znów zaczyna się podobna historia, w której pisarz z całą pasją demaskuje potworność burżuazyjnej żądzy posiadania. Autor drobiazgowo analizuje przeżycia psychiczne opisywanych osób, wydobywa z nich całą moralną ohydę tych ludzi. Nastrój smutku i grozy potęguje tło krajobrazowe opowiadania: piaski, które nieustannie posuwają się naprzód; przysypują kolejno wszystko: niedawno jeszcze nie sięgały lasu, który przylega do młyna, a teraz już przysypują krzaki, potem drzewa aż wreszcie pokryją poczerniałe ruiny młyna.

Na podstawie omówionych tutaj opowiadań, mogłoby się wydawać, że Serafimowicz nie widział wyjścia z tej sytuacji, w jakiej znalazły się masy ludowe pod panowaniem kapitalistyczno - carskiego reżimu u schyłku XIX i na początku XX wieku. Wniosek taki byłby jednak błędny. Pisarz dostrzegał już wówczas wyraźnie siłę, która jedynie zdolna była obalić znienawidzony przez masy ustrój nędzy i wyzysku. Siłą tą była klasa robotnicza, kierowana przez Partię. W wielu opowiadaniach przejawia się mocna wiara Serafimowicza w rewolucję, która wyzwoli ludzi od cierpień. Pokazują one świadomych robotników - rewolucjonistów oddających wszystkie swoje siły walce o lepszą przyszłość.

LINII KRYTYKI

my mieli Gorkich, Szołochowów, Erenburgów i Ażajewów. Zapomina się, że literatura radziecka narodziła się m. in. także z walki o ukształtowanie świadomości politycznej pisarza, o jak najgłębiej partyjne, leninowskie pojmowanie literatury.

Można zresztą wszystkie te pretensje do naszej krytyki określić krótko — zbyt mało partyjna. W czym się to przejawia? Przede wszystkim brak na ogół oceniania książki z punktu widzenia odbiorcy i jej funkcji społecznej; rzadko spotykamy powiązanie problematyki analizowanych utworów z aktualnymi wydarzeniami politycznymi (walka o pokój, budownictwo socjalistyczne), krytyce naszej brak tego zdrowego elementu publicystyki, który każe (tak jak to jest w Związku Radzieckim) konfrontować książkę z wielkimi sprawami rzeczywistości. Są to wszystko uwagi ogólne, ale wyłoniły mi się one w trakcie lektury książki Matuszewskiego, która, jak powiedziałam, jest pod wieloma względami typowa dla całej naszej krytyki. Muszę zresztą zastrzec się przed zarzutem niesłusznego generalizowania. Wiem, że każdy potrafi mi wskazać recenzje i artykuły, słuszne, bojowe, wolne od wyliczonych wyżej braków (najlepszym ich przykładem jest książka Kierczyńskiej, o której powiem niżej), wiem, że i u Matuszewskiego znajdziemy szereg takich szkiców. Jeśli nie całkowicie, to przynajmniej w części cennych. Ale wiemy także, że takich artykułów jest mało i rozpiętość między poziomem kilku czołowych a całej masy obsługujących pisma literackie, radio i instytucje wydawnicze krytyków jest duża. Wydaje się zatem, że należy jak najusilniej walczyć o poziom — jednolity i wyrównany. Prace takich krytyków jak Matuszewski są, niejako wzorem i przykładem dla szerokiej plejady młodzieży, która zapełnia z mniejszym lub większym powodzeniem braki w naszej krytyce. Ucząc się rzeczy słusznych przejmujemy niejednokrotnie i błędy. Te ostatnie więc trzeba ujawniać z całą świadomością ich niebezpieczeństwa.

Jednym z bardzo dotkliwych i wymagających jak najszybszego naprawienia błędów naszej krytyki jest niedostatek prac o literaturze radzieckiej. Takie artykuły jak prace Melanii Kierczyńskiej w jej książce „Spór o realizm" są rzadkim i szczególnie chwalebnym wyjątkiem. W naszej literaturze krytycznej wciąż brak rozpraw o narodzinach i rozwoju literatury Kraju Rad, ponadto w niedostatecznym, a nawet w zupełnie znikomym stopniu krytycy nasi korzystają z doświadczeń radzieckich, zarówno w dziedzinie literatury pięknej, jak metodologii. Lektura książki Matuszewskiego jest typowym przykładem tego złego stanu rzeczy — w jednym zaledwie artykule („Drogi nowej pracy") wymienia on przykładowo utwory pisarzy radzieckich, pozatem i u niego i u przytłaczającej większości naszych krytyków nie znajdziemy w zastosowaniu do naszej sytuacji paralel i przykładów z historii kształtowania się literatury radzieckiej.

Jest w naszej literaturze zjawisko, któremu krytyka ze względu na swą słabość nie potrafiła zapobiec. Szereg naszych pisarzy milczy nie oddając swego talentu w służbę społeczeństwu socjalistycznemu, inni występują z książkami, które są dziwacznym anachronizmem, bolesną pomyłką. Czytając recenzję Matuszewskiego z „Pałeczki" zastanawiałam się nad tym, czy pisarz napisałby tę książkę, względnie czy napisałby ją tak, gdyby krytyka nasza była bardziej czujna i umiała otoczyć pisarzy surową, ale życzliwą opieką. W książce Kierczyńskiej — jest artykuł („Źródła natchnienia twórczego") omawiający znaną wypowiedź Andrzejewskiego na łamach „Odrodzenia". Pisarz mówi w niej o długofalowości procesu dojrzewania świadomości politycznej i społecznej. Wydaje się, że dzisiaj w dobie wzmożonej walki klasowej i wzmożonego wysiłku klasy robotniczej w budowaniu państwa socjalistycznego, słowo pisarza uważać należy za niezwykle cenne. Proces, o którym pisał Andrzejewski należy starać się jak najbardziej skrócić. Krytyka, w całej pełni partyjna, powinna dołożyć w tym celu jak największych starań. Można i trzeba dopomóc pisarzom, aby jak najszybciej dołączyli swe siły do walki klasy robotniczej o pokój i socjalizm.

Książka krytyczna, która ukazuje się tak rzadko wzbudza w czytelniku wiele nadziei. Śledzi on na kartach książki, która ma mówić o literaturze na przełomie, czy krytyk umie dostrzec nowe, które się rodzi i trafnie zrównoważyć błędy i zalety młodej literatury. Uważny czytelnik jest trochę podejrzliwy. Nie jest zupełnie pewny, czy wszystkie zarzuty niedoskonałości artystycznej, jakie padają (na ogół sprawiedliwie) pod adresem naszej literatury są robione ze słusznego stanowiska. Pamiętając nagonkę kosmopolitycznych formalistów na dramaturgię radziecką, a u nas niezupełnie wykorzenione hasło „obrony warsztatu" boi się, czy krytyk nie pominie milczeniem oznak narodzin nowej formy, kształtowania się innej, odmiennej doskonałości artystycznej? Czytelnik pragnie, aby przy okazji słusznej i sprawiedliwej oceny poezji W. Worszylskiego, poety typowego dla pewnego odłamu naszych młodych twórców, krytyk umiał wysnuć wnioski pożyteczne dla całości młodej poezji. Czytelnik chce także dowiedzieć się, na czym konkretnie polega nowość omawianych książek („Drogi nowej prozy"), chce bowiem aby te analizy uzasadniały tytuł książki. Chce wiedzieć dokładnie na czym będzie polegała zasadnicza odrębność literatury realizmu socjalistycznego. Tego wszystkiego ma prawo wymagać czytelnik od krytyka. Zresztą krytyk, który jeździ w teren i potrafi tak trafnie dostrzec najważniejsze problemy i potrzeby akcji kulturalno - oświatowej, wie dobrze jak wiele potrzeb ma dzisiejszy czytelnik, jak odpowiedzialną rzeczą jest danie mu w rękę książki o nowej literaturze. Z artykułów Matuszewskiego „Pisarz wśród czytelników" oraz „Piórem i słowem" wynika jeden ważny wniosek: nie tylko pisarze, ale i krytycy"... powinni jeździć do PGR-ów, ale nie na godzinę czy dwie, nie na „występ", ale na tygodnie i miesiące tak jak to ma już dziś miejsce w ramach przeprowadzonej obecnie akcji wyjazdowej pisarzy do fabryk, spółdzielni produkcyjnych i innych zakładów pracy" (str. 299). Kontakt krytyka z żywym odbiorcą literatury wpłynąłby nie tylko na pogłębienie oceny recenzowanych przez niego książek, ale także zmusiłby go do większej dyscypliny ideologicznej, do wciąż żywej pamięci o doniosłej funkcji społecznej krytyki.

„Spór o realizm", zbiór artykułów krytycznych Melanii Kierczyńskiej, w przeciwieństwie do książki Matuszewskiego posiada zdecydowaną linię tematyczną. Wszystkie artykuły służą egzemplifikacji, wzbogaceniu problemu zawartego w tytule. Dają jasny obraz walki naszej partii o ukształtowanie podstaw estetyki marksistowskiej, o stworzenie literatury opartej na zasadach realizmu socjalistycznego.

Pomimo trudności skomplikowania poruszanych w książce problemów, odznacza się ona nienaganną prostotą, jasnością i zwięzłością, stanowi piękny przykład dostępnej szerokim masom krytyki. Podkreślić należy widoczną dbałość o unikanie wyrazów obcych, tam gdzie można je zastąpić polskimi i nieużywanie trudnych terminów w rodzaju: petryfikować, intrawertyk, laissez-faire'yzm (patrz „Literatura na przełomie"). Nie to jednak stanowi o doniosłości książki Kierczyńskiej. Jest ona rzadkim przykładem krytyki na wskroś partyjnej, krytyki aktywnej, bojowej. Gdy przeczyta się daty pod artykułami i przypomni, że ten okres (1946 — 49) był zasadniczo okresem zupełnego pomieszania pojęć u większości naszych krytyków, okresem, gdy termin „realizm", jeśli był używany, to nader bałamutnie, można dopiero cenić wagę tych szkiców o realizmie, aktualnych od początku do końca. Każda z zawartych tu analiz (O „Ludziach stamtąd", „Mury Jerycha", „Spór o realizm", „Popiół i diament") jest ogniwem problemu naczelnego, dalszym krokiem do wyjaśnienia i uściślenia zagadnień metodologicznych.



Ryszard Matuszewski

W toku tego artykułu próbowałam ustalić przykładowo niektóre cechy, którymi winna odznaczać się partyjna krytyka. Szkic Kierczyńskiej o powieści Andrzejewskiego „Popiół i diament" dostarczył mi tutaj cennych argumentów. Wydaje się, że dla wielu krytyków mogłaby być wzorem tak charakterystyczna dla Kierczyńskiej bezkompromisowa partyjność oceny. Występuje ona we wszystkich artykułach Kierczyńskiej, nie tylko w wymienionym szkicu. Przejawia się w umiejętności konfrontacji książki z rzeczywistością, w zainteresowaniu dla problematyki ważkiej, szczególnie doniosłej na danym etapie. Książka Andrzejewskiego pierwsza podjęła odważnie temat ze współczesności, stawiając problemy, które wtedy nurtowały bardzo żywo społeczeństwo: zagadnienie podziemia, przechodzenia inteligencji na pozycję postępu, walki klasowej w nowopowstałym państwie ludowym. Kierczyńska sprawdza prawidłowość politycznej analizy owego okresu, bada, czy sylwetki moralne bohaterów powieści (Szczuka, Podgórski) są prawidłowo uzasadnione wyznacznikami klasowymi. To niezwykle czujne wykrywanie fałszów i zgrzytów ideologicznych, w harmonijnym, stworzonym przez duży talent, kształcie artystycznym dzieła dochodzi do głosu m. in. w analizie sztuki Szaniawskiego „Dwa teatry". Autorka pokazuje jak koncepcje moralne utworu służą uzasadnieniu aktualnych wstecznych wniosków politycznych.

Melanii Kierczyńskiej zawdzięczamy m. ni. zawarte w szeregu artykułów („Sztuka a rzeczywistość", „Marksizm-leninizm a praca humanisty", „O paru przesłankach realizmu socjalistycznego") jedno z pierwszych na naszym terenie sformułowanie podstaw teoretycznych realizmu socjalistycznego. Zwraca tutaj uwagę słuszne wykorzystanie doświadczeń teoretyków radzieckich, których prace są jeszcze zbyt mało znane ogółowi krytyków.

Cztery artykuły Melanii Kierczyńskiej poświęcone literaturze radzieckiej stanowią pozycję bardzo cenną. Podkreślałam już jak ubogo przedstawia się pod tym względem nasza literatura krytyczna. Szkice Kierczyńskiej zawierają ponadto wnioski szczególnie instruktywne dla naszej walki o literaturę realizmu socjalistycznego. Zreferowanie przebiegu walki z kosmopolityzmem, prowadzonej zwycięsko w Związku Radzieckim, pomoże uniknąć tych błędów w naszej kampanii o wysoką jakość literatury, ułatwi zdemaskowanie tej krytyki która rodzi się z wrogich pozycji ideologicznych.

Na konferencji poświęconej twórczości artystycznej, która odbyła się niedawno w Warszawie, Jakub Berman zwrócił się do pisarzy z wezwaniem: „Pokażcie wielkość naszych czasów". Apel ten obejmuje naturalnie także krytyków. Pokażcie wielkość naszych czasów w książkach współczesnych pisarzy, pokażcie ją także autorom, którzy jeszcze nie umieją jej dostrzec. Ale nie róbcie tego metodą „350 przepisów kucharskich". Źródłem sformułowań teoretycznych musi być życie, a ono nie znosi dogmatów. Nie nadarmo w katalogu wad naszej współczesnej krytyki tak często wymienia się schematyzm. Wynika on z adialektycznego podejścia do życia i do współczesnej literatury, którą wypełnia ono treścią. Stąd „krytyka nie nadąża za sztuką" (jak słusznie stwierdza Kazimierz Brandys), stąd tak wiele mamy, zwłaszcza wśród młodych, recenzji powierzchownych, frazesowych, niepodbudowanych rzetelną obserwacją szybkiego nurtu przemian w naszej rzeczywistości. Stąd tak wiele recenzji, które przymierzają utwór do poziomu współczesnej produkcji literackiej, a nie do potrzeb klasy robotniczej, do potrzeb narodu, który z dnia na dzień zmienia oblicze naszej ojczyzny. Książki tak zasłużonych krytyków jak Melanii Kierczyńskiej i Ryszarda Matuszewskiego zamykają w sobie ważny etap walki o marksistowsko - leninowską krytykę w Polsce socjalistycznej. Dzięki swym osiągnięciom, ale także i „dzięki" pewnym błędom — o ile potrafimy wyciągnąć z nich należyte konsekwencje — stanowią niewątpliwie ważną pomoc w dziele kształtowania krytyki, która winna stanąć na wysokości czekających ją zadań.

Hanna Kirchner

FILM „DONIECCY GÓRNICY"

przez zastosowanie kombajnu węglowego ukazuje nowe perspektywy dalszego rozwoju — składa rezygnację ze swego stanowiska. Jego rozmowa z sekretarzem Okręgowego Komitetu Partii — scena ujmująca swobodą i szczerością gry aktorskiej oraz prostotą i jasnością dialogu — obrazuje jeden z owych nieantagonistycznych konfliktów. Kopalnia teraz — mówi Gorowoj — to prawdziwa fabryka. Gospodarują w niej inżynierowie. On, prosty górnik, czuje się zbyt słabo przygotowany. Inni, wyszkoleni, będą na jego miejscu pożyteczniejsi.

Czy Gorowoj kapituluje przed techniką, przed trudnościami? Nic podobnego. On zna wartość swego doświadczenia, swej wiedzy życiowej i pragnie wykorzystać ją jak najlepiej. Chce wychowywać młodzież górniczą, uczyć ją umiłowania pracy, budzić dumę nowego człowieka pracy. Trzeba bowiem młodym kadrom robotniczym zaszczepiać świadomość zjawiska istotnego w naszej rzeczywistości — zanikania różnic między pracą fizyczną, a umysłową.

Niezupełnie jeszcze pojął to młody Wasia. Był w kopalni ładowaczem. Swoją pracę uważał za najważniejszą, był z niej dumny — przodował. I nagle okazało się, że nie jest ona potrzebna. Kombajn zastępuje ładowacza, pracuje szybciej i wydajniej. Rozgoryczony Wasia pragnie iść gdzie indziej, gdzie ocenią sprawność jego mięśni. I właśnie Gorowoj pomoże mu zrozumieć pozorność konfliktu, ambicjonalny stosunek do pracy. Wasia zrozumie jak bardzo jest potrzebny już nie jako ładowacz, lecz jako kierowca kombajnu, jako technik, inżynier. Maszyna, uwalniając go od wysiłku fizycznego, daje mu nowe, osiągalne możliwości życiowe.

Człowiek, w ustroju socjalistycznym, wyposażony w technikę, która go wyręcza w ciężkiej pracy, jest bogatszy, żyje pełniej i swobodniej. „Wrębiarka — mówi rębacz Stiepan Niedola — przedłużyła mi życie o dobre dwadzieścia lat. Mam nadzieję, że kombajn węglowy przedłuży je o dalsze dziesięć". Stiepan Niedola, którego w filmie odtwarza z wyczuciem prawdy człowieka Borys Czirkow, jest żywą więzią łączącą zjawiska wczorajszej i dzisiejszej rzeczywistości. W jego osobie widzimy podmiot procesów rewolucji, walki o wyzwolenie człowieka.

Ojca Stiepana i jego towarzyszy malował niegdyś Riepin na swych wspaniałych portretach górników. Stary Niedola z głębin ciemnej, wilgotnej i dusznej kopalni wysiłkiem swych mięśni wyrąbywał węgiel, który rozjaśniał ogrzewał, wyściełał puchem życie bogacza.

Niedola nie znał ani sytości, ani uśmiechu. Może nie umiał nawet marzyć. Stiepan patrzył na pracę ojca, na nędzę matki, sam zginał grzbiet, ciągnąc wózki z węglem dopóki świadomości jego nie rozbudził socjalizm. Wraz z milionami głodnych i sponiewieranych towarzyszy, z bronią w ręku wywalczył sobie i dzieciom wolność.

Jego córka Lidia nosi biało-złoty mundur górniczego Instytutu. Jej życie przebiegnie na jeszcze wyższym poziomie.

Staruszek górnik, który od kilkunastu lat nie był już pod ziemią, na widok wspaniałego wnętrza nowoczesnej kopalni, klinkierowych ścian, elektrycznych pociągów, chodników, gdzie w blasku jarzeniowych lamp górnik kieruje pracą kombajnu — wybucha płaczem. Gdy Stiepan Niedola pyta o przyczyny, starzec odpowiada: „Życia mojego mi żal..."

Rozumie go Stiepan Niedola, który sam dobrze poznał łopatę i kilof i ból zgiętego godzinami grzbietu, ale i my go rozumiemy. Rozumiemy ból



i żal człowieka, którego ustrój kapitalistyczny okradł z sił, okradł z radości, okradł z życia.

Życia zrabowanego zwrócić nie można. Starzec dożywa go w spokojnym, zasłużonym wypoczynku. Lecz przed jego wnukiem, który mu towarzyszy w wędrówce po kopalni, bogate, pełne wspaniałych możliwości życie stoi otworem.

Reżyser pokazał dynamizm nieustannego rozwoju, nieustannego „awansu" życiowego człowieka, rozmach socjalizmu w planowaniu życia. W kilku krótkich scenach wyraża reżyser Łukow istotę tych zjawisk. Trofimienko, konstruktor kombajnu węglowego marzy, by co najmniej pięć kopalń wypróbowało jego wynalazek. Dyrektor kombinatu mówi już o pięćdziesięciu kombajnach. A minister przemysłu węglowego, składając sprawozdanie Stalinowi, rzuca śmiałą cyfrę: 150 kombajnów! Wysłuchawszy opinii i upewniwszy się, ile wysiłku zaoszczędza kombajn górnikowi, Stalin decyduje: — Na początek zastosujemy pięćset kombajnów. Pięćset...

Filmy radzieckie mają między innymi tę szczególną cechę, iż po obejrzeniu któregoś z nich człowiek szerzej oddycha, jaśniej patrzy, prostuje się wewnętrznie. Tę cechę posiada także film „Donieccy górnicy". Jest on bogatym w treść, wysoce artystycznym odbiciem życia ludzi radzieckich. Jest pochwałą nowego życia.

Stanisław Grzelecki

KLASYK REWOLUCJI

Do rzędu tych opowiadań, spośród zamieszczonych w polskim zbiorze należą: znana nam już *„Kawka"*, *„Długosz"*, *„Bomby"*, a także poniekąd *„Mysie królestwo"*.

3.

Powieść *„Miasto na stepie"* (którą niesłusznie nazwano w polskim przekładzie opowiadaniem) pisze Serafimowicz w latach 1907 — 1910, a więc w okresie tzw. reakcji stołypinowskiej po upadku rewolucji 1905 r. Wielu pisarzy rzuca w tym czasie tzw. „tematykę społeczną", chroni się przed rzeczywistością w „wieży z kości słoniowej", w sferze czystej sztuki—symbolicznej i dekadenckiej. Serafimowicz jednak nie zatracił wiary w siłę proletariatu i w ostateczne zwycięstwo rewolucji, napisał wtedy powieść obnażającą przeciwieństwa ustroju kapitalistycznego, skierowaną przeciwko temu ustrojowi.

Jako tło książki wybrał autor nowopowstające na stepie miasto przemysłowe, budowane z całym, charakterystycznym dla tego rodzaju obiektów w państwach kapitalistycznych bezładnym, bezplanowym pośpiechem. Na tym odcinku kontrasty klasowe występują szczególnie jaskrawo. Z jednej strony widzimy tu bezgraniczną nędzę robotników, biedaków przybyłych ze wsi, szukających zarobku i chleba w nowym mieście; z drugiej zaś obserwujemy, jak rozwija się burżuazyjny mechanizm wyzysku, początkowo bardzo prymitywny, jawnie złodziejski przybierający stopniowo postać bardziej ‚kulturalną", osłoniętą prawem i religią.

Typowa jest pod tym względem postać Zacharki, w której autor starał się skoncentrować wszystkie charakterystyczne cechy bogacącego się burżuja. Zacharka zaczyna swoją karierę w nowym mieście jako właściciel szynku i domu publicznego; po kilku latach staje się posiadaczem szeregu kamienic i fabryk, a w końcu wszechpotężnym władcą całego miasta. Gdy dostatecznie się wzbogacił, sprzedaje szynk i kompromitujący dom publiczny, buduje cerkiew, sprowadza popa i policję — stróżów nagrabionego majątku. Pokazując stosunek Zacharki do ludzi u niego pracujących i jego pożycie rodzinne, pisarz dopełnia obrazu człowieka wyzutego z resztek moralności, w którym wszystkie uczucia zabiła pasja bogacenia się i posiadania.

Klasie eksploatatorów, reprezentowanej w powieści i przez burżuazyjnych inteligentów, namalowanej żywo i ostro, przeciwstawia autor świadomie klasę robotniczą. Ale niestety, Serafimowicz nie potrafił jeszcze zachować w pełni proporcji odpowiadającej prawdzie historycznej. Postacie robotników są więc bardzo schematyczne: niedokończony jak gdyby w rysunku jest ich przywódca Ospowaty, a co najważniejsze — nie widać narastania ruchu rewolucyjnego, ani kierownictwa Partii.

4.

Najwyższym osiągnięciem twórczym Serafimowicza jest powieść *„Żelazny potok"*. ukończona w r. 1924. Przeszła ona do liczby arcydzieł literatury radzieckiej i przetłumaczona została na dziesiątki obcych języków. Na książce tej uczyli się męstwa, odwagi i wytrwałości ludzie radzieccy w okresie wojny z najeźdźcą hitlerowskim, była ona ulubioną lekturą żołnierzy Chińskiej Armii Ludowej.

Fabuła powieści osnuta jest na tle historycznego pochodu Armii Tamańskiej w r. 1918, która okrążona przez „białych" i przez kontrrewolucyjnych kozaków przerwała się do głównych sił Armii Czerwonej. Serafimowicz oddał z niezrównaną siłą ekspresji ten bohaterski marsz okrążonej kolumny głodnych, wynędzniałych oberwańców przez stepy i góry w słonecznej spiekocie — *„żelazny potok" rewolucji, który zmiata* wszystkie przeszkody. Bohaterem powieści jest masa, lud. Zasługą pisarza jest to, że umiał przedstawić ten tłum tak różnorodny, żywy, barwny jako jedną całość, że umiał dać mu jedno serce i jeden język. Kożuch, wódz, który prowadzi ten ludzki potok i kieruje go do walki nie wyrasta ponad tłum, ale jest z nim organicznie związany, tkwi w nim całą swoją istotą. Siła Kożucha polega właśnie na tym, że wyraża dążenia i pragnienia masy.

Warto zwrócić uwagę na doskonałe artystycznie przedstawienie w powieści bolszewików bandom kozackim. O ileż wyżsi moralnie są ci „oberwańcy" od carskich oficerów i kozackich bogaczy! U białych nienawiść do Rewolucji, do biedaków, którzy przecież walczą o sprawiedliwość społeczną, jest tak wielka, że rodzi najokrutniejsze zbrodnie, rzezie *kobiet i dzieci*, tortury jeńców, a wszystko „w imię Boga i cywilizacji". A bolszewicy w spokoju przechodzą przez wioskę, (nie tykając jej cywilnych mieszkańców) w której jeszcze wiszą na słupach ciała ich towarzyszy, pomordowanych przez kozaków. „Nikogo nie zabili" — dziwią się kozaczki. A gdy w ogniu walki, na wpół nadzy żołnierze zaczęli rabować odzież w gruzińskich sklepach, Kożuch zbiera ich na placu:

„— Towarzysze! Jesteśmy rewolucyjną armią, bijemy się za nasze dzieci, za nasze żony, za nasze stare matki, za ojców, za Rewolucję, za naszą ziemię. A kto dał tę ziemię?... Kto dał? Władza sowiecka, nasz rząd. A wy, coście zrobili? W bandytów zamieniliście się? Poszliście grabić?".

I żołnierze posłusznie składają na bruku zrabowaną odzież.

Władza radziecka — oto co jest źródłem siły moralnej tych ludzi; czujących klasowym instynktem, że władza radziecka to władza robotników i chłopów, to ich władza, to ich szczęśliwe życie bez obszarników i kapitalistów, bez panów i wyzyskiwaczy.

Tak więc pisarz pokazuje ludowy i ogólnonarodowy charakter Rewolucji, a „Żelazny potok", epopeja tamańskiego pochodu staje się jej symbolem.

Ten szkicowy przegląd najważniejszych utworów Serafimowicza pozwala nam choć w części ocenić wielkość pisarza. Był on przez całe swoje życie wyrazicielem dążeń klasy robotniczej, a od r. 1918 kroczył w awangardzie jej bojowników, w szeregach WKP (b) *„Prawdziwa twórczość wtedy nie jest martwa, gdy patrzy na życie, na walkę rewolucyjnymi oczami klasy rozwijającej się, a nie gasnącym wzrokiem klasy uchodzącej w zapomnienie"* — to była jego dewiza, której nie sprzeniewierzył się nigdy. W czasie Rewolucji Październikowej przebywał na froncie jako korespondent „Prawdy", później pisał i służył radą młodej generacji pisarzy radzieckich. Gdy faszyści niemieccy napadli na Związek Radziecki, Serafimowicz, już wówczas 80-letni staruszek, udał się na front. I znowu jego opowiadania, tak jak przed 30-laty, zagrzewały do walki z wrogiem. Z własnych oszczędności zakupił i ofiarował Armii Czerwonej kompletnie wyposażony czołg.

Partia bolszewicka, rząd i cały naród radziecki wysoko cenią wielkiego pisarza. W r. 1920, gdy Serafimowicz stracił na froncie syna, Lenin pisał do niego: *„...Wasze utwory i opowiadania siostry[3]) budziły we mnie głęboką sympatię do Was i chciałbym Wam powiedzieć jak bardzo potrzebna jest robotnikom i nam wszystkim Wasza praca..."*

W r. 1933, w 70-lecie urodzin, sędziwy pisarz został odznaczony Orderem Lenina, w 1943 w 80-lecie urodzin — Orderem Czerwonego Sztandaru Pracy, a w 1942 r. otrzymał Nagrodę Stalinowską I stopnia.

Niedawno w mieście Serafimowicz (dawniej stanica Ust' — Miedwiedicka) w dwa lata po śmierci pisarza, otwarto muzeum poświęcone jego pamięci. Mieści się ono w domu, w którym przez szereg lat pisarz żył i tworzył. W sześciu pokojach rozlokowano dokumenty, fotografie, obrazy, bibliotekę i przedmioty osobistego użytku. A nad brzegiem Donu, skąd rozpościera się widok na sady i step, założono kamień węgielny pod pomnik piewcy tej ziemi. Ale pomnikiem na jego cześć może być całe nowowybudowane miasto, tonące w zieleni, czyste i radosne, bo jego to ręka kierowała rozbudową, on to zasadził pierwsze drzewa na centralnej ulicy. Ale przede wszystkim wiecznym pomnikiem chwały pozostanie jego wielkie dzieło, w którym wyraziła się cała potęga myśli i słowa klasyka Rewolucji Socjalistycznej.

Zdzisław Wróbel.

[1]) *Aleksander Serafimowicz „Żelazny potok", Wyd. 3. Bibl. „Trybuny Ludu" 1950, przekł. Józefa Brodzkiego; „Trzy opowiadania" (Piaski. Miasto na stepie. Nad mroźnym morzem). „Książka i Wiedza", 1950, przekł. Józefa Brodzkiego; „Opowiadania", „Książka i Wiedza", 1950, przekł. Zofii Petersowej.*

[2]) Lenin, „Dzieła", t. XXV, str. 175 — 176, wyd. ros.

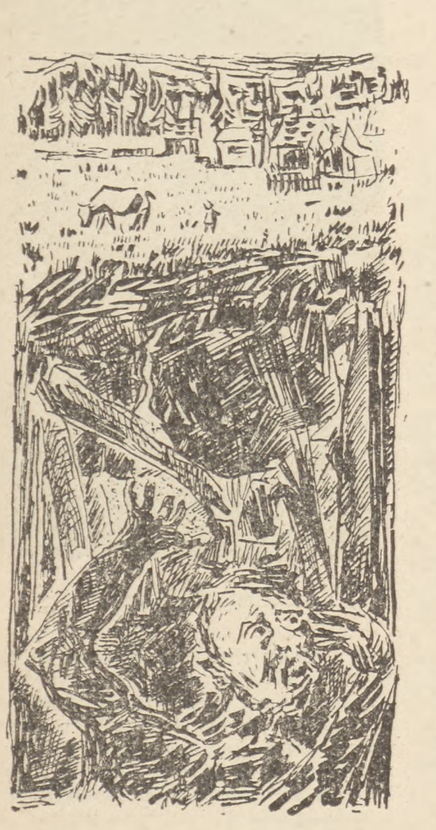
[3]) Siostra Lenina, Maria Ulianowa, pracowała z Serafimowiczem w czasie I wojny imperialistycznej w tym samym przyfrontowym szpitalu.

STANISŁAW ORZEŁ

JAK SIĘ PRACOWAŁO W POLSCE PRZEDWRZEŚNIOWEJ

PRZEBUDZENIE

(Fragment powieści)



Sobieraj z młodym Kłuskiem i Piwoniem z Jeziórka pracowali w końcu ósmego poziomu na ostatniej bocznicy. Już czwarty miesiąc metr po metrze posuwali się naprzód. Do stawiania stempli i zakładania stropu przychodzili im na pomoc „specjaliści", jak mówił Zuber, który razem ze Śliźniem zastępowali głównego sztygara Klonczoka.

— Takich specjalistów, to se pan, panie Zuber do macania kur najmij. Dwa lata dopiero w kopalni są i specjalistami się porobili, mówił Piwoń. My tu z Sobierajem już siódmy rok pod ziemią. Po omacku, po stemplach poznamy, na którym poziomie jesteśmy, nosem o dwa metry przez skałę piryt wywąchamy a taki śtygar Zuber wystawia się dwulatkami. Piwoń mówił prawdę. Oni sami jak wszyscy inni zgubieni w mrocznych i dusznych chodnikach na wszystkich poziomach byli już dzisiaj doświadczonymi górnikami. Uczyli się jeden od drugiego. Pełno już mieli nowych pomysłów, ulepszeń, ale nikt się nimi nie chwalił. Rozumieli, że za 63 zł miesięcznie warto było tylko kilofem jak najrzadziej w skałę uderzyć. Rozumieli, że jeden więcej wózek, czy dziesięć nie przyniosą im nic nowego ani lepszego. Zresztą kto tam czekał na ich pomysły, kto chciał wprowadzać ulepszenia. — Zdechniesz, to dziesięciu nowych przyjmiemy na twoje miejsce, powiedział raz Kromierzański Chciałowi, gdy ten żalił się na ciężką pracę. Oszczędzali więc robotnicy siły, aby na dłużej starczyło.

Sobieraj i wysoki Piwoń o głowie podobnej do pnia ściętego tępą siekierą pojmowali to doskonale. Ze spotkania z pirytem cieszyli się najmniej. Ściekająca woda zakwaszała się i obuwie, ubranie rozpadały się w oczach. Kupili gumowe buty po 12 zł, ale i te nie na długo wystarczą. Szczęście z odkrycia było dla nich tylko udręką, wróżyło nowe wydatki. W pierwszych dniach pobili wszystkie rekordy w pracy. Myśleli — zwyczajnie dwa, trzy metry pirytu a dalej będą śliskie iły i hematyt. Tymczasem skała ustąpiła miejsca osypisku, a za nim znów ostry, iskrzący się piryt. Zwolnili tempo, zwłaszcza, że upał z nagrzania wywołanego ciśnieniem wzrastał, przewietrzanie było skąpe. Duchota odbierała chęć do wysiłku. Po odstrzałach pracowali na zmianę kilofami. Kiedy Sobieraj odrywał bryły, uskakując z nogami, Piwoń i Kłusek ładowali piryt na wózki, pchając je do głównego szybu, gdzie inni przesypywali go do kubłów wyciąganych kołowrotem na powierzchnię. Sobieraja zastępował Piwoń, a Piwonia Kłusek. Odpoczywali często. Pociągali wodę z butelek i palili ostrożnie papierosy.

— W pierwszy wtorek sierpnia Piwoń spóźnił się prawie godzinę. Kiedy światło jego latarki zabłysło na zakręcie, Sobieraj z Kłuskiem wstali, udając naprawę świdra pneumatycznego.

— Szczęść Boże! — Szczęść Boże! — powitali go z radością.

— Myśleliśmy, że Śliziеń, powiedział Klusek. Przysiedli znowu. Piwoń był zły. — Cholera, 50 gr. diabli wzięli. — Nie diabli, tylko Kromierzański, poprawił Sobieraj. — Tłumaczenia nie uznają. Przy klaczy miałem zostać, źrebiła się. Przychówka żal, a do tego za psie pieniądze człowiek nie ma ochoty śpieszyć się do roboty. Sobieraj, nie wytrzymamy tak długo, Władziu!—My nie, ale inni wytrzymają. Chłop skórę ma grubą, pocieszają się dyrektor i Kromierzański, ale się mogą oszukać. Zatykaj okna gnojem, a jedz chleb ze spokojem. Stare i głupie przysłowie. — Przestarzałe, bo głód coroczny uczy każdego rozumu. A jednak boją się nasze chłopy. Boją się.

— Roboty utracić się boją, Władziu. Wiesz przecież, ilu czeka na ich miejsce.

— Aha, przerwał Sobieraj Piwoniowi. Byłbym zapomniał. Zubrowi albo Śliźniowi trzeba dzisiaj jeszcze powiedzieć: — siódmy słup trzaśnie lada chwila. Stropy już wypierają iły. Namokły, ciężkie są. Nie daj Boże, — a w tej duchocie nie wytrzymalibyśmy długo.

— Widziałem i ja, ale może dzisiaj wytrzyma jeszcze, starał się uspokoić Piwoń. Kłusek poszedł zaraz przyjrzeć się.

— Strach patrzeć, — powiedział po powrocie.

— Ty, Jędrek, o strachu w kopalni nie mów. Zawieziecie pierwszy wózek, to wrócisz sam, a wy Sobieraj poszukacie Śliźnia albo najlepiej samego Klonczoka. Niech ludzi od razu przyprowadzą z materiałem, najlepiej tych „specjalistów", zaśmiał się drwiąco.

Zaraz też zrzucił marynarkę i zawinął rękawy. Zawarczał świder. Przez chwilę żądło jego skakało w miejscu po skale, jakby próbowało lepszego, czulszego miejsca, lecz przytrzymane muskularnymi łapami Piwonia wgryzło się w piryt, zagłębiając się coraz bardziej. Kanciasta górowata głowa Piwonia trzęsła się w takt nerwowych obrotów świdra. Ręce przywykłe przez całe życie do pługa, przeradzały się teraz w czułe uchwyty, przekazywały całej postaci radość kierowania nową siłą, kruszącą skały.

Kiedy młody Kłusek patrzył na twarz Piwonia czy Sobieraja przy takiej pracy zdawało mu się, że w migających cieniach ich twarzy widzi uśmiech ten sam, który zauważył u swego sześćdziesięciopięcioletniego ojca, gdy w majowy dzień patrzył na wysrebrzone kroplami deszczu młode żyto. A przecież i oni byli gospodarzami na swoich zagonach. Powiedział to raz Piwoniowi.

— Głupiś, skarcił go wtedy Piwoń i wąsa w dół szarpnął. Tamto co innego, a to co innego, a razem to samo.

Kiedy jednak Kłusek stał niemy, bo nic z tego nie rozumiał, rozgniewany Piwoń pokazał na Sobieraja.

— Jego proś, to ci wytłumaczy. Polityk przecie, mądrości się go różne trzymają i wytłumaczyć potrafi.

— Nie pletlibyście, zaczął Sobieraj, a ty Jędrek sam to zrozumiesz, jak tu dłużej popracujesz. Obie rzeczy różne, bo prace różnią się zupełnie, a jednakowe, bo każdą pracę polubić można, że i przykrzy się za nią, smutno bez niej.

Ja już, Piwoń i na pewno dziesiątki innych nie łatwo pogodzilibyśmy się z ziemią, tracąc kopalnię.

Prawda, że dokarmiamy siebie i swoich za te psie pieniądze, ale to jeszcze nie wszystko. Nawet te proste już dla nas świdry, a każda maszyna robi z człowiekiem coś dziwnego. Świder nie tylko skałę przewierca — nas samych przewierca. Siłę jakąś daje, moc. Coś z maszyny i coś ze skały. Zresztą — daj mi spokój, Jędrek, bo i sam nie wiem, co to jest. Chyba to, dodał po chwili, że i diabeł mniej się staje straszny. Tam w polu człowieka wszystko roztkliwia, że robakiem się w końcu czuje słabym, bezradnym wśród chudych kłosów. Rozmowę tę Kłusek zapamiętał sobie dziwnie dokładnie — i zawsze przypominał gdy tylko Sobieraj z Piwoniem przygotowywali otwory do strzałów.

Tego dnia Jędrka Kłuska spotkał zawód.

Paweł Piwoń już przy wierceniu drugiego otworu świder nagle w połowie wstrzymał i kurek przekręcił. Uciszyło się tak nagle, że aż Sobieraj do Piwonia podskoczył, czy się co złego nie stało.

— Nie, Władziu, to mi się ino tak zdawało, ręką do tyłu pokazał i znów prąd powietrza do świdra włączył.

Po odstrzałach Sobieraj wziął się do kilofa na zmianę z Kłuskiem a Piwoń poszedł obejrzeć zagrożony strop.

— Jedźcie z nami, proponował Piwoniowi Sobieraj, gdy wózek był już naładowany.

— Nie ma co pchać we trzech. Jedźcie. Odpocznę sobie przez ten czas. — Szczęść Boże! Szczęść Boże!

Był znów spokojny jak zawsze, kiedy przejeżdżali koło ósmego stempla, nakapało im na kołnierze jak początek dobrego deszczu. Sobieraj przestraszył się nie na żarty. Gdy skręcili na główny chodnik, zostawił Kłuska samego i przyśpieszył kroku aby odnaleźć Śliźnia.

— Latarkę powieś na wózku a weź moją. Jeżeli sam nie możesz, zawołaj sąsiadów. Ja po ciemku trafię.

Śliźnia odnalazł przy samej pochylni. Krzyczał on akurat i klął, bo natknął się na siedzących.

— Cholery, próżniaki! Darmo chleb chcą żryć. Mało mają roboty, odpoczywać im się zachciało.

— Szczęść Boże! — Przerwał mu Sobieraj. Nie kląłbyś pod ziemią, bo nieprzyjemnie.

— A ty co ducha udajesz i bez latarki się włóczysz?

— Trafię jak mi przyda, drogę znam. Na naszej bocznicy jest źle. Stemple trzeszczą, cieknie. Pułap ciśnienia nie wytrzyma, ludzi potrzeba, bo zasypie.

— No, ciebie chyba nie, bo ze strachu jak widać i latarki zapomniałeś przy uciekaniu.

— Czy się boję, to mogę ci udowodnić jak wyjdziemy na powierzchnię. Piwoń został tam sam, a może już i Kłusek do niego wrócił. Zasypać ich może.

— Ale górniki psiakrew. We łbach im treszczy, to zaraz myślą, że ich zawali, nie przestawał drwić zastępca sztygara. Sobieraj wziął z rąk stojącego obok latarkę i zaświecił w twarz Śliźniowi. Czerwone z przepicia powieki zamrugały na piegowatej twarzy zastępcy Klonczoka. Śliziń był krewnym młynarza Kubosa z Mierzejowic i wszyscy wiedzieli, że tylko za mąkę, wódkę i donosicielstwo został zastępcą sztygara. Z Sobierajem znali się z dawnych czasów, gdy Śliziń był pomocnikiem młynarskim. Już wtedy za kieliszek wódki pomijał kolejki przy mliwie i na ręce patrzeć mu trzeba było, bo mąka się do nich kleiła, zwłaszcza pszenna.

— Śliziń, zrozumiałeś com ci rzekł — powiedział Sobieraj nie opuszczając latarki.

— Nie bydlem, to rozumiem, a w ślepie mi nie świeć, bo sztygarem jestem.

— Możesz sobie być nawet inżynierem. Ludzi zawołaj aby za późno nie było. „Sztygar" Śliziń nie mógł się wykręcić, bo Sobieraj deptał mu po piętach i sam nawet robotników popędzał.

— Chłopcy, sprawa pilna, o ludzi przecież idzie.

Słuchali go jakby to on, a nie Śliziń, był sztygarem.

Okazało się jednak, że zabrakło stempli i trzeba je było z szóstego poziomu sprowadzić po pochylni. Załadowali je wreszcie na wózki i ruszali, gdy chlupocząc w kałużach wody i zataczając się z pośpiechu, nadbiegł Kłusek. Sobierajem aż coś wstrząsnęło. Chwycił za rękę spoconego Jędrka.

— Piwonia zasypało. Ratujcie! Sobieraj, Piwonia na pewno zgniotło. Sobieraj biegł, potykając się o szyny, waląc głową nieostrożnie kaskiem o wystające stemple. Brudna woda bryzgała mu spod nóg aż na twarz. Zasypało! Piwonia — jednego z najlepszych kolegów, cichego, do przesady uczciwego i buntowniczego, jak mówił Śliziń, Piwonia. I kobyła mu się dzisiaj źrebiła. Cieszył się nią i zasypało go.

W czwartej bocznicy pełno już było. Górnicy darli rękami zwały iłu i rudy podając je jeden drugim.

— Zarząd winien. Żadnego bezpieczeństwa nie obmyślają.

— Co tam dla nich człowiek, usłyszał Sobieraj. Poznał Piskura. To on kierował ratowaniem. Szybko rozchodziły się wieści pod ziemią, bo przecież Piskur pracował na piątym. Ratowanie szło trudno i powoli, choć strop zawalił się tylko od piątego do ósmego stempla. Pracę utrudniały zwały iłu, których masy nasuwały się jedna na drugą. Przyszedł wreszcie sam Klonczok, przyglądał się chwilę gorączkowej pracy i zadecydował inaczej.

— Kopać poza stemplami w bok, równolegle do chodnika. Co pół metra zastawiać okrąglaki i zasuwać deski. Ludzie pracowali na zmianę. Przerywali od czasu do czasu robotę nadsłuchując. Piwoń żył, bo słychać było słabe uderzenia jakby kilofem o skałę. Dawał znaki. Niektórym zdawało się, że słyszą jego wołania. Po trzech godzinach zmagań z osypującymi się zwałami rudy i iłu brakowało co najwyżej metr do miejsca, gdzie powinien się znajdować Piwoń.

Nie dawał już żadnych znaków. Sobieraj był jednak pewny, że Piwoń nie został przygnieciony walącym się stropem. Skały pirytu ochroniły go na pewno przed zgnieceniem. Mógł się jednak zadusić z braku powietrza zwłaszcza, że w ostatnich dniach grzało coraz więcej. Przebili wreszcie otwór za ostatnim zawalonym stemplem. Przeciągnęli gumowego węża i puścili prąd powietrza. Nasłuchiwali. Cichy jęk odpowiedział im po chwili.

— Żyje! — Zadzwoniły kilofy o skałę. — Otwór powiększał się — Sobieraj nie pozwolił nikomu — To on, on sam powinien pierwszy ratować towarzysza. Kalecząc ręce o skałę, z oczyma oślepłymi od kurzu, wdzierał się w otwór, głową naprzód, macając wkoło rękami.

Jest! Ręce natrafiły na głowę, rozróżniły nos, usta. Twarz jest mokra, lepka.

— Pawle, towarzyszu, szepcze Sobieraj!

Głowa poruszyła się i Sobieraj usłyszał już wyraźnie jęk.

Jeszcze pół kroku i uchwycił silnie ramiona leżącego.

Teraz cofa się do tyłu i ciągnie, ile ma sił. Piwoń jęczy.

A więc przywaliło go jednak, myśli Sobieraj. Nie puszcza przecież ramion i próbuje ciągnąć znowu.

Piwoń ucichł. Zemdlał na pewno. Sobieraj poczuł jednak, że wyciąga go powoli, że jakby lżej idzie, bez oporu.

— W głównym chodniku więcej powietrza. Piwoń otworzył oczy. Leżał wyciągnięty na deskach położonych na szynach bez butów, w porwanych, pokrwawionych strzępach spodni. Sobieraj podał mu łyk herbaty ze swojej butelki.

— Dziękuję ci, Władziu — powiedział po chwili, prawie normalnym głosem. Nogi mi chyba pogniotło, zaczął po chwili. Za blisko stałem. Słyszałem jak trzeszczały słupy, uskoczyłem, ale mnie jucha kapkę zajęło. Jeno mnie potem ta piekielna siarka chciała zadusić. No, wynieśta mnie na wierzch. Skończyłem już chyba, Władziu robotę. I tak zdychanie i tak zdychanie. Niby co innego a to samo.

Nie mówili nic więcej, a kiedy wyleźli na podwórze kopalni, nadszedł Kromierzański.

— A was co to taka gromada? Robotę przerywacie! Kto wam pozwolił?

— Piwoniowi nogi połamało, ratowaliśmy, powiedział Sobieraj i spojrzał w twarz zastępcy dyrekora tymi oczami o stalowym wejrzeniu, tak jak patrzył na Śliźnia, gdy mu w oczy latarką świecił.

— To i cóż? Wypadki po ludziach chodzą. Mógł je złamać i na równej drodze. To nie powód do stania tu całą gromadą. Sobieraj nie spuszczał z niego oczu.

— Czego się gapisz, ryknął Kromierzański. Ty, Sobieraj za dużo się tu zaczynasz rządzić. Już mi nieraz o tym mówiono.

— Kolegę ratowałem, odpowiedział twardo Sobieraj. A teraz konie chciałem godzieś wynająć i odwieźć go do domu. Może by pan inżynier pozwolił?



— Nie potrzeba. Dyrekcja sama o tym pomyśli.

— Józefie, krzyknął do Krasonia, stróża przy bramie. Pójdziecie do pana Świstonia i powiecie, że prosiłem o konie. Parobek przewiezie tego człowieka do Jeziórka. Za furmankę potrąci się wam, spojrzał po raz pierwszy na Piwonia, z przepracowanych dniówek. Jutro sprawdzimy, czy należy wam się leczenie w Ubezpieczalni. No, szczęść Boże! A wy do roboty, za to stanie potrącę za godzinę przy wypłacie.

Chciał odejść, gdy Piwoń usiadł z wysiłkiem i rękę wyciągnął.

— Panie dyrektor! Ja chciałem jedno słowo rzec.

— Proszę bardzo. Słucham. Tylko żadnej pomocy materialnej, uprzedzam.

— O, nie! Ja teraz mam gdzieś twoją pomoc, pański zgniłku. Chciałem ci tylko powiedzieć, żeś drań, nie człowiek. Zdziertus i złodziej. Potrącić mi chcesz za furmankę. Nie pojadę. Zaniosą mnie na rękach, gdy wyjdą z pracy, a ciebie, pański gnojku, poszukamy jeszcze.

— Hej, ludzie! — krzyknął do robotników. — Nie darujta mojej i swojej krzywdy.

Ścichł nagle w końcowych słowach i opadł, podpierając się łokciami. Chwyciły go bóle żołądka, bo pas rękami szarpać zaczął.

— Cham! Zdychaj, jeżeli nie chcesz uczciwej opieki. Kromierzański splunął i skierował się do bramy. Od grupy robotników odłączył się Jędrek Kłusek i pozostał przy Piwoniu. Z Krasoniem wynieśli starego za bramę i ułożyli w cieniu rachitycznej sosny.

— Jędrek, — mówił półgłosem Krasoń. Ja przyniosę wody, a ty leć do Dębówki. Chłopak na pewno już z pola wrócił, każ mu kobyłę zaprządz i w te pędy niech przyjeżdża. Ja tu nie pisnę słówkiem, żeś poszedł.

— Ee, co mi tam, możecie mówić. Nie wszyscy się Kromierzańskiego boją. Ale po konie skoczę.

— Dobrze idzie, mruczał stróż kopalniany Józef Krasoń, nachylając się z garnuszkiem wody nad Piwoniem.

— Co mówicie, jęknął ranny?

— A dyć mówię, że dobrze idzie. Chłopaki hardzieją, to znaczy, że we łbach im się porządkuje, kumie.

Stanisław Orzeł

OSKAR WEINBERGER

PIERWSZY ZAROBEK

(Fragment pamiętnika *)

MIAŁEM wtedy czternaście lat i były wakacje, ostatnie już przed ukończeniem szkoły powszechnej.

Do pracy tej wciągnął mnie jeden ze starszych chłopców z naszego podwórza. Był on elektromonterem i zakładał instalacje w nowym gmachu szkolnym. Roboty te musiały być ukończone przez okres wakacyjny, bo szkoła miała być oddana do użytku z rozpoczęciem roku szkolnego.

Majster przyjął mnie do pracy i obiecał mi, że otrzymam 13 groszy za godzinę. Praca polegała na tym, że wykuwałem w ścianie rowki do rur instalacyjnych.

Wziąłem się do tej pracy z całym zapałem. Kułem i kułem ściany od rana do wieczora. Niewprawna ręka nie zawsze trafiała w mesel, często — w palec. Bolało bardzo, czasem kurczyłem się z bólu na drabinie. Te tłuczone rany są bardzo bolesne, a otarcia skóry pieką dotkliwie. Ale trudno, trzeba było uważać. To przecież praca! Każdy robotnik ma ręce twarde i pokaleczone.

— Pomału i ty się wprawisz, smyku — powiedział pan inżynier, gdy ujrzał moje rany.

Następnego dnia majster oznajmił mi, że muszę pracować dwie godziny nadliczbowo, nie chce on brać nowego robotnika, a instalacje muszą być wykonane w terminie.

Pracowałem więc dziesięć godzin na dobę. Właściwie byłem zadowolony, bo przecież za godziny nadliczbowe płacono o 50% więcej, a majster powiedział, że te dwie godziny będą płacone jak trzy.

Te dodatkowe godziny są, co prawda, bardzo męczące, ręka drży, w głowie szumi z głodu i ze zmęczenia. Ale za to otrzymał 1 zł 43 gr dniówki zamiast 1 zł 04 gr., a to będzie duża różnica w tygodniówce.

Obliczyłem sobie dokładnie każdą godzinę, nie potrzebowałem tego zapisywać, znałem swoje zarobki z dnia na dzień.

Planowałem, w jaki sposób wydam te pieniądze.

Nareszcie minął pierwszy tydzień pracy. Inni otrzymali pieniądze, ale ja nie. Powiedziano mi, że muszą dopiero obliczyć i za trzy dni je dostanę, to jest we czwartek przyszłego tygodnia.

Czekałem więc do czwartku. Ale we czwartek po robocie nie zastałem już sekretarza. Kończył pracę o godzinie trzeciej po południu, ja zaś o szóstej, a trudno przypuszczać, by specjalnie na mnie czekał.

Idąc za radą kolegi, poszedłem w piątek rano do biura. Pan sekretarz powiedział mi wtedy, że dla mnie nie zrobi osobnej listy płac i że pieniądze dostanę w sobotę razem z innymi robotnikami.

Czekałem więc dalej. To przecież już jutro. Jakie było jednak moje rozczarowanie, gdy w sobotę wszyscy dostali wypłatę, a ja — czekając do samego końca—dowiedziałem się, że zapomniano wpisać mnie na listę. Majster nie podał wszystkich godzin. W poniedziałek będzie wszystko załatwione.

Ale w poniedziałek sekretarza nie było, we wtorek oświadczył mi, że teraz nie ma pieniędzy, będzie je miał dopiero we środę, albo we czwartek.

Byłem bardzo przygnębiony. Jednak co robić? Stukałem dalej w ściany, choć już z mniejszym zapałem. Majster zwrócił mi nawet uwagę, że teraz robota gorzej mi idzie. Nie było to jednak prawdą. Doszedłem już do takiej wprawy, że i tak pracowałem o wiele wydajniej niż na początku. Miałem już wyczucie w ręku; pod jakim kątem nachylenia trzymać mesel, by trafić w cegłę w miejscu odpowiednim. Nie uderzałem bezmyślnie, przez cały czas kombinowałem, jak trzymać mesel i czy bić mocniej czy też słabiej. Wszystko oczywiście po to, by z mniejszym wysiłkiem uzyskać lepsze wyniki.

Po pracy odczuwałem silne zdrętwienie prawej ręki i bóle w krzyżu. Gdy leżałem w łóżku, bolały mnie wszystkie kości, a rozprężone mięśnie wyprostowywały się z ulgą. Jeszcze rano byłem zbolały. Ale to mijało, gdy znów stałem na drabinie przy pracy.

Wykonywałem też inne prace pomocnicze: przewoziłem przewody i rury instalacyjne, chodziłem z majstrem po zakupy na miasto i tym podobne. Rozmyślając gorzko nad tym, że już szesnasty dzień pracuję bez pieniędzy, doszedłem do wniosku, że może to i lepiej. Teraz dostanę dużo pieniędzy na raz i łatwiej będę mógł kupić wszystkie upatrzone przedmioty. Będzie to duża niespodzianka dla domu.

Zwierzyłem się wreszcie starszemu koledze, który mnie wciągnął do tej pracy, a który po paru dniach rzucił ją, gdyż gdzie indziej znalazł lepszą. Doradził mi, żebym poszedł do inżyniera, gdyż ten sekretarz to znany krętacz, a majster nie ma na niego wpływu.

Korzystając więc z okazji, że inżynier zjawił się na budowie, zwróciłem się do niego z zażaleniem. Wysłuchał mnie i powiedział, że zaraz wyda odpowiednie polecenie.

Następnego dnia wezwano mnie do biura i otrzymałem 5 zł zaliczki. Było to po osiemnastu dniach pracy; według moich obliczeń należało mi się już przeszło 25 zł.

Z okazji wypłacenia mi zaliczki sekretarz powiedział mi, że cała moja robota skończy się za tydzień i wtedy dokładnie wszystko obliczy i od razu wypłaci.

Pogodziłem się z tym i wróciłem do pracy, nie przeczuwając nic złego. Początkowo sądziłem co prawda, że robota potrwa dwa miesiące, tymczasem okazało się, że już tak szybko się skończy. Szkoda! Butów nie będę mógł kupić, oddam tylko stare do podzelowania. Szewc wstawi łatę i będą jeszcze całkiem dobre.

Gdy tak obliczałem godziny pracy i zarobki, przeszło znów kilka dni i nadszedł dzień, który miał być nagrodą za moją pracę, a stał się wielkim rozczarowaniem.

Sekretarz przyszedł na budowę w chwili, gdy majster robił mi wymówki za to, że obciąłem samowolnie kawałek blachy miedzianej z arkusza. Posłano do magazynu po drugi, ale takiego nie było w zapasie; majster się denerwował, że cały arkusz zepsułem. Sekretarz spostrzegł przy tej okazji, że mój zamek przy pasie jest wykonany z takiej samej blachy miedzianej. W istocie, zepsuł mi się zamek przy pracy i z odpadków wyciąłem sobie drugi. Sekretarz jednak twierdził, że umyślnie pociąłem arkusz, by sobie wyciąć bezsensowną ozdobę do paska. Krzyczał, że to kradzież, że jestem łobuzem i złodziejem i że zrobi z tego odpowiedni użytek.

Po chwili zjawił się pan inżynier, który po wysłuchaniu sprawozdania sekretarza, wypowiedzianego głosem wzburzonym, zawyrokował krótko: Wyrzucić go!

Zareagowałem silnie i odezwałem się:

— To nieprawda, nie ukradłem i niczego naumyślnie nie zepsułem.

— Kłamiesz, łobuzie — brzmiała odpowiedź pana sekretarza.

— Ja nigdy nie kłamię, tylko pan kłamie — wołałem ze łzami w oczach.

— Precz stąd natychmiast — krzyczał jeszcze głośniej sekretarz.

Spojrzałem na inzyniera, spodziewając się od niego pomocy i opieki, ale ten spojrzał na mnie złym wzrokiem, odwrócił się i nic nie mówiąc wyszedł.

— Precz mi stąd, szczeniaku — wrzasnął jeszcze raz sekretarz.

Opuściłem budowę kierując się ku domowi. Ale poszedłem najpierw do pobliskiego parku i usiadłem ciężko na ławce. Wszystko to, co się stało, było dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Przecież nie ukradłem, pracowałem starannie i gorliwie; owszem zepsułem arkusz blachy, ale przecież nie był on do wyrzucenia, nadawał się do innych celów.

Chyba zwrócę się do policji i powiem im wszystko. Na pewno dadzą sekretarzowi nauczkę, by wiedział, że tak postępować nie wolno. Do pracy wprawdzie już mnie nie przyjmą, to pewne. Trudno, i tak niedługo skończą się wakacje i trzeba będzie wziąć się do nauki.

Postanowiłem, że jutro rano pójdę po pieniądze i tak długo będę czekał, póki ich nie dostanę.

Siedząc na ławce przyglądałem się uważnie moim butom. Zwykle chodziłem boso, gdyż było lato, ale przy robocie trzeba było obuwać te, w których chodziłem do szkoły; w ciągu tego miesiąca pracy zniszczyły się już bardzo, ubranie było również mocno poplamione i w kilku miejscach przetarte. Matka pewno będzie niezadowolona, gdy jej o tym powiem? Jak się wytłumaczę?

Co prawda zarobiłem 35 zł 75 gr. Ale to nie wystarczy mi na buty, ubranie, książki i prezenty. Mogę zresztą zrezygnować ze wszystkiego, ale na prezenty dla matki muszę mieć pieniądze. Przeznaczyłem na ten cel przeszło 8 zł. Zabawki dla Zyga miały kosztować 2,50 zł. To już 10 zł 50 groszy.

Liczyłem i liczyłem na wszystkie sposoby. Czułem się bardzo bogaty, a jednak tak ograniczony w swoich możliwościach.

Następnego dnia zgłosiłem się rano do biura po pieniądze. Pan sekretarz nie odpowiadając na moje „dzień dobry" rzucił mi obojętne spojrzenie i powiedział, bym przyszedł za dwie godziny.

Zodowolony wyszedłem na miasto, by oglądać wystawy i wróciłem w umówionym terminie.

Sekretarz podał mi dwie listy do podpisania. Podpisałem i czekałem.

Porządkował długo różne papiery i kazał mi czekać na wypłatę. Wreszcie wyciągnął z kasetki pieniądze i odliczył: 11 zł 30 groszy.

Przeliczyłem srebrniaki i zdumiony spytałem, czyżby było wszystko? — Odpowiedział mi twierdząco.

— Przecież pracowałem 23 dni po dziesięć godzin i 2 dni po 13 godzin i jeden dzień, ten ostatni, 5 godzin.

— Nie zawracaj głowy. Pracowałeś 25 dni i masz dniówkę osiemdziesiat groszy, co czyni równe dwadzieścia złotych. Potrącenia 2 zł 70 gr i 5 zł zaliczki, czyli 11 zł 30 groszy. Tu masz pięć, dziesięć, jedenaście złotych i trzydzieści groszy.

— Przecież majster mi powiedział, że dostanę 13 groszy za godzinę, a nadliczbowe 2 godziny będą liczone jak 3 zwykłe.

— Głupi jesteś. Za taką dłubaninę więcej ci się nie należy. Idź, nie mam czasu bawić się z tobą.

— To niesłuszne. Udam się do policji i złożę zażalenie. Pan nie ma prawa...

— Ty szczeniaku, złodzieju, jeszcze mi grozisz policją. A idźżesz na policję! Precz, jazda stąd!...

Bałem się, że mnie pobije, bo w pokoju nie było nikogo. Wyszedłem. Za drzwiami jednak tak zdrętwiały mi nogi, że ledwo schodziłem ze schodów. Krew uderzyła mi do głowy, a potem dostałem boleści. Na chwilę usiadłem na schodach, ale przechodzący ludzie spoglądali na mnie, więc wstałem.

Nigdy przedtem i nigdy już potem nie płakałem tak rzewnie jak wtedy. Była to pierwsza krzywda społeczna, którą tak bezpośrednio odczułem. Rozwiały się moje marzenia o prezentach dla matki z własnych ciężko zarobionych groszy.

Następnego dnia rano, koło godziny ósmej, gdy matka i siostra poszły już do pracy, zjawił się policjant. Spytał o moje nazwisko i zażądał, bym udał się z nim do komisariatu. Zrozumiałem od razu, że pozostaje to w związku z wczorajszym zajściem u sekretarza. Byłem tak zaskoczony, że nic nie mówiąc posłusznie poszedłem za nim.

Sąsiedzi i dozorca widzieli, jak policjant mnie prowadził, ale nikt nie śmiał spytać, co się stało.

Byłem przygotowany na najgorsze.

Oskar Weinberger

---

*) Fragemnt pracy „Powrót do Łodzi", odznaczonej II-gą nagrodą na konkursie wspomnień robotniczych zorganizowanym przez Polskie Radio i PIW

ALEKSANDER KACZOCHA

UWAGI DZIAŁACZA TERENOWEGO

Różnie można oceniać działalność gminnych spółdzielni, ale ocena taka byłaby niekompletna, gdyby nie zawierała dwu podstawowych zagadnień, jakie są:

1. Sprawa komitetów członkowskich i gminnych rad kontroli, a więc zagadnienie czynnego udziału i wpływu mas członkowskich na działalność gminnej spółdzielni..

2. Sprawa prawidłowej gospodarki majątkiem płynnym, tj. środkami pieniężnymi i towarem.

Od chwili powołania do życia wielu komitetów członkowskich dokonano pięknego i pożytecznego wkładu w prawidłową działalność gminnych spółdzielni. Wiele przykładów można by przytoczyć, jak komitety członkowskie składające się z biedoty i średniorolnych chłopów bezinteresownie i uporczywie walczyły z kumoterstwem i- egoistycznym naporem kułactwa przywykłego od dawien dawna do traktowania spółdzielni wiejskich jako terenu przywilejów dla siebie.

Niezliczone ilości zebrań dyskusyjnych, postanowień, skarg i zażaleń ze strony komitetów członkowskich stanęło w poprzek zakusom kumoterstwa, kułackiej zachłanności i trwonieniu mienia społecznego w spółdzielniach wiejskich. Oceniając z uznaniem wysiłki chłopów i chłopek w komitetach członkowskich nie możemy poprzestać na dotychczasowych osiągnięciach czynnika społecznego w spółdzielniach wiejskich. Nie można zamykać oczu na wszystkie dotychczasowe braki w powiązaniu spółdzielni z masami pracujących chłopów poprzez komitety członkowskie.

Sprowadzenie działalności komitetów członkowskich do formalnej funkcji podziału towarów deficytowych jest niesłuszne i zmierza do ograniczenia i kompromitacji czynnika społecznego w oczach ogółu członków spółdzielni. Zły kierownik gminnej spółdzielni rozumuje tak: Niech oni dzielą te deficytowe towary ja chcą, a ja i tak sprzedam komu będzie mi się podobało. Jeśli członkowie będą narzekać, że źle podzielone, to całą winę zrzucę na komitet członkowski, a wtedy niech sobie rośnie niechęć do biedoty, zasiadającej w komitetach. Albo komitet członkowski podzieli towar, a miejscowy dygnitarz z urzędu przyjdzie do spółdzielni i naciskiem oraz tupetem obali wyniki ich pracy i zagarnie towar dla siebie i swoich kumotrów. Że trzeba czuwać nad właściwym rozprowadzeniem towaru, przeznaczonego dla mało i średniorolnych chłopów przede wszystkim — to prawda. Ale to jeszcze za mało: Co pewien czas na zebraniu wszystkich członków komitetu kierownik spółdzielni, kierownik filii czy członek zarządu powinien przedstawić swój plan działania. W prostych słowach może i powinien opowiedzieć o tym co robił w ubiegłym czasie, co robi teraz i co zamierza poczynać na przyszłość, aby sprostać zadaniom w zakresie zaopatrzenia członków i w obowiązkach skupu produktów rolnych. Członkowie zaczną się wczuwać we wszystkie trudności i ujawni się chęć wspólnego ich przezwyciężenia. Chętnie dostarczą furmanki po towar, chętnie złożą udziały, a co najważniejsze dopomogą władzom spółdzielni do usunięcia zakusów bogaczy wiejskich i spowodują, że wokół spółdzielni wytworzy się wspólny front walki z kułactwem o nowy socjalistyczny styl życia i socjalistyczny obrót towarowy między rolnictwem i przemysłem. Wtedy gminna spółdzielnia stanie się szkołą wychowania obywatelskiego.

Co pewien czas mogą i powinny się zebrać wszystkie komitety członkowskie razem, gdzie zarząd spółdzielni przedstawi swoje osiągnięcia i troski. Spośród najbardziej wyrobionych i uspołecznionych członków komitetów członkowskich rekrutować się winien skład gminnej rady kontroli, która rozpatrywać będzie bardziej skomplikowane zagadnienia finansowe i gospodarcze związane z działalnością spółdzielni.

Podstawowym warunkiem prawidłowej gospodarki gminnej spółdzielni jest celowe i przemyślane gospodarowanie środkami płynnymi tj. gotówką i towarem. W ustroju kapitalistycznym spółdzielnie wiejskie skazane były na własne siły. Wobec ograniczonej możliwości działania gospodarczego, oraz nacisku i szantażu ze strony prywatnego kupiectwa i kapitalistycznej władzy państwowej spółdzielnie wiejskie prowadziły najczęściej swój nędzny kramikarski żywot w ramach uciułanych z biegiem lat funduszów własnych.

W Polsce Ludowej, budującej planowo podstawy socjalizmu, rola i zadania gminnych spółdzielni wiejskich uległy zasadniczej zmianie. Obok środków własnych dysponuje spółdzielnia kredytami państwowymi, a to w tym celu, aby mogła jak najrychlej wyrugować spekulacyjny handel prywatny i objąć zasięgiem swojej działalności całe zaopatrzenie wsi w towary przemysłowe i skupić całą zbywalną nadwyżkę we wszystkich produktach rolnych. Widzmy zatem, że wiejska spółdzielnia z nędznego kramiku przekształciła się w instytucję handlu uspołecznionego na wsi, która obejmuje swoim zasięgiem działania cały obrót towarowy między przemysłem a rolnictwem, miastem a wsią, klasą robotniczą a chłopstwem. Jeśli dla zrealizowania tych zadań spółdzielnia wiejska ma powierzone kredyty państwowe, to powinna tak nimi gospodarować, aby przy użyciu możliwie jak najmniejszych środków finansowych dokonywała sprawnie i celowo możliwie jak największych obrotów.

Przyjrzyjmy się dla przykładu jak gospodarują środkami finansowymi gminne spółdzielnie powiatu płońskiego na terenie województwa warszawskiego. Przeglądając odpowiednie dane 11-tu spośród 12 gminnych spółdzielni tego powiatu uderza niezmiernie niski poziom funduszów własnych w porównaniu do ogólnej sumy środków finansowych będących w obrocie. Niewiele ponad 100 tysięcy złotych funduszu udziałowego, 200 tys. zł funduszu społecznego w tych 11-tu spółdzielniach, nie pozostaje w żadnym stosunku nie tylko do użytych w obrocie kredytów państwowych, ale i w stosunku do realnych możliwości gromadzenia środków własnych na terenie swojej działalności. Stąd wniosek, że gminne spółdzielnie na tym terenie powinny rozwinąć energiczną działalność w kierunku wybitnego powiększenia sumy funduszu udziałowego. Ponadto mogą i powinny wszelkimi sposobami unikać strat bilansowych, a przeciwnie poprzez sprawną działalność gospodarczą i oszczędność zdobywać nadwyżki celem dalszego wzmacniania funduszów własnych. Nie można więc uznać za normalny taki stan rzeczy, jaki ma miejsce w gminnych spółdzielniach powiatu płońskiego, że jedynie trzy spółdzielnie uzyskały za rok 1950 nadwyżkę w wysokości dziewięciu tysięcy kilkaset złotych, a 9 spółdzielni wykazało straty bilansowe.

A jak wygląda celowość w zużyciu własnych i państwowych środków obrotowych w tych spółdzielniach. W skupie produktów rolnych jak zboża, trzody chlewnej, mleka itp. cykl obrotowy powinien być możliwie **krótki** i zbliżać się do **czterokrotnej** rotacji w ciągu miesiąca przez wymianę pieniądza w towar i towaru w pieniądz. A to dlatego, że skupionych produktów rolnych wiejska spółdzielnia nie musi przetrzymywać, a powinna natychmiast stawiać je do dyspozycji nadrzędnych instytucji gospodarczych, uzyskując automatycznie przelew gotówki na własne konto dla celów dalszego skupu.

W ciągu III kwartału 1951 r. gminne spółdzielnie powiatu płońskiego dokonały skupu wszystkich produktów rolnych na ogólną sumę 13 milionów złotych, co podzielone przez 12, to jest przez ogólną liczbę cyklów rotacyjnych w tym czasokresie daje sumę 1.088 tys. zł, jako przybliżony normatyw środków obrotowych jaki powinien przysługiwać tym spółdzielniom w stosunku do faktycznych w tym okresie obrotów artykułami rolnymi.

Uzyskane dane wskazują, że spółdzielnie te miały postawione do dyspozycji 1.486 tys. zł na skup produktów rolnych, czyli blisko 400 tys. zł ponad niezbędne potrzeby w zakresie sfinansowania skupu rolnego.

Co więcej. W dniu 1 lipca, to znaczy w momencie stosunkowo najmniejszego nasilenia skupu produktów rolnych spółdzielnie powiatu płońskiego miały nierozliczonych należności za odebrane przez różne instytucje produkty rolne, ponad 1840 tys. zł, a więc znacznie więcej ponad przyznane normatywy kredytowe na skup rolny. To znaczy, że udzielony kredyt gminnym spółdzielniom na skup produktów rolnych faktycznie przeniesiony został do kas i na konto bankowe różnych instytucji związanych działalnością gospodarczą z gminnymi spółdzielniami. Na skutek zbyt powolnego tempa rozliczeń finansowych, ofiarą padły gminne spółdzielnie, a więc jednostki gospodarcze najsłabsze, najmniej zagospodarowane i najsłabiej jeszcze zorganizowane. Wskazuje to, że różne instytucje wyższego rzędu korzystają ze środków obrotowych przewidzianych dla gminnych spółdzielni i za które gminna spółdzielnia opłaca procenty w Banku Rolnym.

Przyjrzyjmy się z kolei, jak wygląda sprawa na odcinku obrotu innymi artykułami. W okresie III kwartału 11 gminnych spółdzielni dokonało obrotu artykułami przemysłowymi na sumę około 12 milionów zł, przy remanentach na dzień 1 lipca w wysokości 4,5 miliona zł. Pytanie, jaki powinien właściwie być uzasadniony zapas towarów przemysłowych i spożywczych w spółdzielniach i jakimi one powinny dysponować kredytami obrotowymi, aby ludność została zaopatrzona bez niepotrzebnego przetrzymywania środków finansowych w zbędnych remanentach towarowych. Jak z wyliczenia wynika, na terenie powiatu płońskiego cykl obrotowy w artykułach codziennego użytku i w towarach przemysłowych wynosi **ponad 30 dni.**

Gdyby spółdzielnie usprawniły dowóz towarów oraz wyzbyły się towarów niechodliwych, to obrót towarem znacznie by się przyśpieszył.

Gdyby następnie zarządy gminnych spółdzielni biorąc pod uwagę miejscowe warunki, obliczały sobie normatyw zapasu poszczególnych towarów na składzie w granicach istotnych i uzasadnionych potrzeb, to konieczny zapas towarów uległby znacznemu zmniejszeniu.

Gdyby do tego jeszcze PZGS ostrzegał i chronił spółdzielnie przed zbędnymi zakupami. to w sumie remanenty w gminnych spółdzielniach obniżyłyby się bez szkody w zaopatrzeniu ludności.

Wzrosłaby obracalność towarem i w rezultacie przy użyciu znacznie mniejszego normatywu środków obrotowych spółdzielnia dokonałaby tego samego albo większego jeszcze obrotu. Obecnie zaś nawet z uwzględnieniem 30-dniowego cyklu obrotowego kredyty i remanenty towarowe wydają się za wysokie. Gdyby przyjąć w artykułach codziennego użytku dwukrotny cykl obrotowy w ciągu miesiąca, to tego samego obrotu 12 milionów złotych w ciągu kwartału można by dokonać przy użyciu niewiele ponad 2 miliony złotych kredytu obrotowego. Dałoby to możność wycofania z obrotu i pozostawienia do dyspozycji gospodarki narodowej kilka milionów złotych zaangażowanych dodatkowo na skutek zbędnego przetrzymywania towaru w spółdzielni. Nieprawidłowe zaopatrzenie gminnych spółdzielni spowodowało przeładowanie ich towarami luksusowymi lub towarami rzadszego zapotrzebowania, powodując konieczność podnoszenia wysokości kredytu obrotowego przy jednoczesnych trudnościach w zaopatrzeniu tych spółdzielni w artykuły codziennego użytku. Zwiększony zapas towarów często luksusowych i niechodliwych oraz zwiększony napływ kredytów obrotowych spowodował w wielu wypadkach beztroski stosunek do grosza publicznego. I tak: 11 gminnych spółdzielni powiatu płońskiego wydało towarów na kredyt na sumę 1.900 tys. zł, a nieuzasadnione manka sklepowe stanowią 271.372 zł.

W odniesieniu do gospodarki gminnych spółdzielni powiatu płońskiego a sądzić należy, że i w odniesieniu do wielu gminnych spółdzielni na terenie kraju, można by przyjąć następujące postulaty:

1. Rozwinąć akcję w kierunku znaczniejszego niż dotąd powiązania ogółu członków mało i średniorolnych chłopów z gminnymi spółdzielniami, między innymi przez rozszerzenie wpłat na udziały, celem doprowadzenia do takiego stanu, aby gminne spółdzielnie operowały w znaczniejszym zakresie kapitałem udziałowym i wypracowanymi przez oszczędną gospodarkę nadwyżkami.

2. Ściągnąć należności od dłużników, manka sklepowe i przyśpieszyć proces rozliczeń między instytucjami gospodarczymi a gminnymi spółdzielniami.

3. Badać wnikliwe remanenty towarowe oraz ustalać normy zaopatrzenia sklepów tak, aby zwalniać zbędne środki finansowe, które przez oprocentowanie niepotrzebnie obciążają zyski wypracowane w spółdzielni. Trzeba planować w handlu spółdzielczym, ale tak, aby przy użyciu jak najniższych środków finansowych dokonać, jak najbardziej celowego i wszechstronnego zaopatrzenia ludności wiejskiej w artykuły pierwszej potrzeby i towary przemysłowe.

4. Skupić w ręku gminnych spółdzielni i ich powiatowych związków cały obrót artykułami rolnymi i przemysłowymi na wsi.

Aby tego wszystkiego dokonać trzeba rozwinąć w ramach gminnych spółdzielni na wielką skalę pracę społeczną i wychowawczą opartą na konkretnych codziennych troskach i zadaniach gospodarczych na wsi.

Aleksander Kaczocha

ROMAN TABORSKI

KSIĄŻKA O CIĘŻKICH CZASACH

Czytelnikowska piękna „Złota seria literatury rosyjskiej"; ukazująca się przez pewien okres w Wydawnictwie W Bąka „Biblioteka arcydzieł powieści rosyjskiej"; wydawane przez „Książkę i Wiedzę" tomy Turgeniewa czy Sołtykowa-Szczedrina, to czołowe pozycje na szeroką skalę zakrojonej akcji mającej uzupełnić nasze luki w zakresie znajomości prozy rosyjskiej dziewiętnastego wieku. Ostatnio lista powyższa zwiększyła się o powieść W. A. Slepcowa „Ciężkie czasy", poprzedzoną w polskim tłumaczeniu dłuższym szkicem K. Czukowskiego, stanowiącym przedmowę do ostatniego rosyjskiego wydania tej książki*).

W. A. Slepcow, pisarz pochodzenia szlacheckiego, po przezwyciężeniu sporów ideologicznych zbliżył się do kierowanego przez Czernyszewskiego obozu rewolucyjnej demokracji. Powieść jego „Ciężkie czasy" wydrukowana została po raz pierwszy w 1865 roku na łamach czasopisma „Sowriemiennik", organu Czernyszewskiego, po jego aresztowaniu w 1861 roku redagowanego przez Niekrasowa. Tematem książki Slepcowa są stosunki na wsi rosyjskiej po przeprowadzeniu słynnych reform Aleksandra II. Slepcow odsłania istotny sens społeczny tych reform, realizowanych w interesie liberalnych sfer szlachecko-burżuazyjnych, jakie (jak pisze Kowalski w książce „Rewolucyjna demokracja rosyjska, a powstanie styczniowe") „zainteresowane były w reformie rolnej, która, torując w Rosji drogę rozwojowi kapitalizmu, uniemożliwiłaby zarazem rewolucję agrarną. Sfery te zainteresowane były w reformie, która umocniłaby prawo własności kapitalistyczno-obszarniczej, dostarczając przemysłowi i kapitalistycznemu rolnictwu taniej siły roboczej rekrutującej się z wyzutych z ziemi chłopów".

Oszukańcza reforma rolna, przeprowadzona nie w obronie interesów ludu, lecz z punktu widzenia potrzeb posiadaczy ziemskich, nie mogła rzecz jasna przyczynić się do polepszenia doli chłopa rosyjskiego. Odłożenie wykonania ukazu carskiego z 1861 roku o dwa lata, zmuszenie chłopów do wykupywania od pana uprawianych przez nich od pokoleń działek ziemskich, co doprowadziło biedniejszych do ruiny finansowej, pozostawienie, a raczej wzmożenie jeszcze hegemonii gospodarczej obszarników na wsi, wywołało wzrost wrzenia wśród ludu, co objawiło się w licznych buntach chłopskich po 1861 roku. Zasługa i prekursorskie znaczenie książki Slepcowa leży w tym, że ukazała ona prawdziwe oblicze klasowe aleksandrowskich reform w okresie budowania przez prasę liberalną legendy o wielkich rzekomo humanitarnych przemianach, będących dobrodziejstwem dla ludu.

Akcja książki Slepcowa toczy się latem 1863 roku, kiedy w wyniku krwawej interwencji wojsk rządowych stłumione zostały bunty chłopskie, kiedy konieczność ustosunkowania się do powstania polskiego doprowadziła do wyraźnego zróżnicowania się rosyjskiej opinii publicznej na jej część postępową i wsteczną. Za pośrednictwem przedstawionych wydarzeń, rozgrywających się na terenie jednej wsi rosyjskiej, demonstruje autor nowy system eksploatacji „wolnego" chłopa, dostosowany do zmienionych w wyniku przeprowadzonych „reform" stosunków, a następnie postać liberalnego, „humanitarnego" obszarnika, którego demaskuje przez konfrontację z głównym bohaterem powieści, rewolucjonistą Riazanowem.

Jak słusznie stwierdza Czukowski, powieść Slepcowa można nazwać rozprawą „o płonności reformizmu liberalnego i nieuniknionym wybuchu rewolucji". Obszarnik Szczetininow, to przedstawiciel obozu, w reformach aleksandrowskich widzącego ostateczne rozwiązanie nurtujących wieś rosyjską konfliktów społecznych, a w osobie posiadacza ziemskiego opiekuna i ojca duchowego włościan. Slepcow przez odpowiedni dobór przykładów wykazuje bankructwo tej ideologii „dobrych panów", nie zmieniających w gruncie rzeczy w niczym położenia ludu. To też Szczetininowowi, ku jego zdziwieniu nie udaje się zmniejszyć nieufności, ani nienawiści klasowej chłopa. Slepcow widzi organiczną łączność wszystkich zjawisk życia społecznego, widzi niemożliwość rozładowania istniejącej sytuacji społecznej przez częściowe jedynie reformy, przez likwidację pewnych przerostów ówczesnego rosyjskiego ustroju bez likwidacji samego ustroju. Slepcow pokazuje nam ludzi, którzy, pozostając w bezpośrednim kontakcie z chłopami, działają w interesie obszarnika. Ci, jak ich nazywa Czukowski, „wojownicy", to oficjaliści dworscy, nie próbujący nawet przybierać maski dobroczyńców ludu, to wyzyskujący chłopów sklepikarz. To dalej pop, w okresie rozruchów chłopskich spełniający specjalne funkcje policyjne, jak również rozumiejący odpowiednio swe obowiązki nauczyciel wiejski. To na koniec uchodzący w sferach liberalnych za obrońcę ludu — rozjemca ziemski, urzędnik pośredniczący między dworem a uwłaszczonymi chłopami, broniący zazwyczaj interesów obszarnika.

Postacią, wprowadzającą do powieści elementy optymistyczne, jest Riazanow, reprezentant obozu rewolucyjnej demokracji, pełen wiary w rewolucję, w jej powodzenie, w możliwość stworzenia nowego życia. To też pociąga on za sobą nowych ludzi, jak duszącą się w atmosferze ziemiańskiego dworu i rozczarowaną ostatecznie co do słuszności postępowania swego męża Marię Szczetininową, czy też bezimiennego syna diaka.

W kreśleniu wypowiedzi Riazanowa, jak i wszystkich innych śmielszych myśli, musiał Slepcow liczyć się z cenzurą: stąd mało wyraźne sformułowania, uciekanie się do omówień, dwuznaczników, alegorii. Dawało to możność reakcyjnej krytyce niezgodnego z założeniami autora interpretowania jego książki; Czukowski przytacza liczne tego przykłady. W rzeczywistości jednak prawdziwa zasadnicza treść ideologiczna „Ciężkich czasów" daje się odcyfrować na całej linii jasno i wyraźnie.

Roman Taborski

*) W. A. Slepcow „Ciężkie czasy" tłum z ros. W. Old, s. 274+LII, „Książka i Wiedza" 1950.

Z prasy radzieckiej

Współautorstwo ludu w dziele literackim

Czytelnikom polskim znany jest główny poemat Aleksandra Twardowskiego pt. „Wasyli Tiorkin". Fragmenty tego czołowego utworu poetyckiego Wielkiej Wojny Narodowej ukazywały się na łamach naszych pism m. in. „Wsi". Obecnie w nr 11 miesięcznika „Nowy - Mir" czytamy zwierzenia A. Twardowskiego pt. „Odpowiedź czytelnikom Wasylia Tiorkina". Twardowski opowiada, jak powstał „Tiorkin", jaką rolę w społeczeństwie radzieckim odgrywał i odgrywa nadal. Uwagi poety są ciekawe i bardzo znamienne dla postawy twórcy w Związku Radzieckim: Mówią o ścisłym związku pisarza z milionami czytelników i w świetle tej zależności stawiają problem współuczestnictwa ludu w dziele literackim.



Na froncie w 1943 roku

Twardowski dał w poemacie o Tiorkinie typowy, realistyczny obraz radzieckiego żołnierza. „Szary" bohater szeregów posiada najlepsze cechy radzieckiego człowieka, które wystąpiły wyraźnie w chwili wojny w obronie socjalistycznej ojczyzny: męstwo, ofiarne bohaterstwo, miłość ojczyzny, wierność socjalistycznym ideałom, hart charakteru. W najrozmaitszych sytuacjach — w groźnych bitwach i w chwili odprężenia, pozwalającej na humor i pogodę — dochodzą do głosu te wartości, które legły u podstaw zwycięstwa Armii Czerwonej.

Poemat daje szereg epizodów z Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Na tle walk, chwil wypoczynku i wszelkich żołnierskich przygód występuje barwnie, sugestywnie odmalowana postać bohatera o pospolitym nazwisku Tiorkin.

Pierwsze rozdziały „Tiorkina" zostały opublikowane w r. 1942. Od tej chwili Twardowski zarzucany jest korespondencją stawiającą przed autorem pytania i zagadnienia, jak np. czy Tiorkin rzeczywiście istnieje, jak powstał poemat, co robi Tiorkin w „cywilu", względnie, czemu poeta nie pisze dalszego ciągu poematu.

Odpowiedź udzielona przez Twardowskiego publikuje nieznane szczegóły powstania poematu i ujawnia rolę wyobraźni oraz pomocy tysięcy czytelników w dziele ukształtowania się „Wasylia Tiorkina". Udział czytelników, wkład ludowego zainteresowania jest tak duży, że można chyba zaryzykować twierdzenie, że bez tej pomocy opowieść poetycka Twardowskiego nie zostałaby może napisana. W związku z tym powstaje zagadnienie współautorstwa ludu w dziele „zawodowo literackim".

Twardowski oświadcza, że Tiorkin „w życiu nie istnieje, stanowi wymysł fantazji". Ale czy twór zrodzony w umyśle nabrałby takich silnych barwnych rysów, czy ożyłby i czy wszedłby między ludzi — gdyby wyobraźni pisarza nie zasilały, nie wykarmiły prawdziwe, realne przeżycia setek tysięcy żołnierzy? Nie. I tutaj niezmiernie ciekawe jest wyznanie samego autora: „Tiorkin został pomyślany i stworzony nie tylko przeze mnie, ale i przez wielu ludzi, w tej liczbie byli literaci, ale najczęściej nieliteraci, w dużym stopniu moi korespondenci. Ci wszyscy w aktywny sposób uczestniczyli w dziele powstania „Tiorkina", poczynając od pierwszego rozdziału aż do zakończenia książki.

Obecnie wszyscy ci współtwórcy snują dalej dzieje Tiorkina — w rozmaitych formach i w przeróżnych kierunkach. Po prostu Tiorkin zeszedł ze szpalt przyfrontowych gazet (powstał w czasie wojny!) i obraca się wśród ludzi. Nie chce umrzeć śmiercią papierowego bohatera, czytelnik przedłuża mu dalej życie, snując o nim dalsze a różnorakie opowieści".

Jak powstał „Tiorkin"? Twardowski wyznaje, że prototyp bohatera żył już w czasie wojny z Finami w latach 1939 — 1940.

W gazecie leningradzkiego wojskowego okręgu pt. „Na straży ojczyzny" w środowisku redakcyjnym w składzie A. Twardowski, M. Tichanow, W. Sajanow, A. Szczerbakow i inni, zrodziła się myśl, aby uruchomić kącik satyry i humoru na wzór tej literatury agitacyjno - satyrycznej, którą w swoim czasie tworzyli Majakowski i D Biednyj. Literaci chcieli stworzyć szeregowego żołnierza, bohatera groźnych i wesołych sytuacji, typ z ludu, obdarzony cechami zaobserwowanymi w życiu. Rada w radę — powstał „Tiorkin". Korespondenci i czytelnicy-żołnierze przyoblekli wymysł literacki w realność, dodali „Tiorkinowi" własnych przeżyć, wyposażyli bohatera we własne bohaterskie i we własne codzienne cechy.

Tiorkin zaczął żyć. Żołnierze pisali do niego listy, wierząc, że jest realną postacią.

Podobnie zwracali się do samego autora.

„Towarzyszu Twardowski — pisze jeden z żołnierzy przyfrontowych — zapytuję was, czy nie można by w waszym poemacie zamienić imię Wasyli na — Wiktor, gdyż Wasyli Tiorkin to mój ojciec, który ma 62 lata, moje zaś imię brzmi Wiktor..." A więc odezwał się rzeczywisty Tiorkin — sądząc, że autor posłużył się jego postacią, chce sprostować nieścisłość w zastosowaniu imienia.

Poemat „chwycił". Ma się rozumieć, w warunkach wojny niepodobna było rozsnuwać lirycznego gadulstwa. Stąd zwartość kompozycji, fabuła podzielona na zamknięte w sobie człony sytuacyjne. Żołnierzowi, który mógł jutro zginąć w bohaterskiej walce, trzeba było dawać poemat fragmentami z tym, że każdy fragment powinien mieć charakter pewnej całości „samej w sobie".

Żołnierze uważali dzieje Tiorkina za własne dzieje i w listach dopisywali dalszy ciąg. Oto fragmenty korespondencji: „Bardzo zasmuciło nas wasze zakończenie poematu, z którego nie trudno wywnioskować, żeście utwór zakończyli. A wojna trwa dalej. Prosimy was pisać poemat dalej, gdyż Tiorkin będzie walczył aż do zwycięstwa".

„Szanowny Aleksandrze (nie wiem, jak było waszemu ojcu na imię), jeśli potrzebujecie materiału, to służę nim. Rok w pierwszej linii frontu i siedem bitew nauczyły mnie czegoś i dały mi coś nie coś".

„Słyszałem na froncie opowiadanie pewnego żołnierza o Wasylim Tiorkinie. Tego opowiadania nie ma w waszym poemacie. Być może to was zainteresuje".

„Dlaczego nasz Wasyli Tiorkin jest ranny? W jaki sposób trafił do szpitala? Przecież Tiorkin strącił szczęśliwie faszystowski samolot i nie otrzymał żadnej rany. Więc co? Czy Tiorkin przeziębił się i mając katar poszedł do szpitala? Nie, nasz to nie taki chłop. To niedobrze, nie piszcie tak w ten sposób o Tiorkinie. Tiorkin musi być zawsze razem z nami w pierwszej linii frontu — wesoły, dziarski, odważny zuch... Oczekujemy Tiorkina, niech wyjdzie szybciej ze szpitala".

A oto list żołnierski otrzymany przez redakcję „Prawdy Czerwonoarmistów". „Tow. redaktorze! Bardzo przepraszam, że zabiorę wam trochę czasu swym poematem „Wasyli Tiorkin" część III. Proszę oczywiście uzgodnić to z tow. Twardowskim jako autorem poematu. Będąc na froncie przez ostatnie 8 — 10 miesięcy nie miałem sposobności przeczytania najnowszych dzieł naszej literatury. Tylko teraz będąc w szpitalu zobaczyłem poemat o Tiorkinie, chociaż nie czytałem pierwszej części. Nie znając koncepcji autora a także przyszłości Tiorkina, odważyłem się na próbę, aby przedstawić Tiorkina jako czerwonoarmistę. Przypuszczam, że w czasie zdobycia wsi przez hitlerowców nie było go w pierwszych szeregach, ale Tiorkin powinien być choć przejściowo dowódcą, pokazać swoje czyny i stać się wzorem dla innych".

Powyższa korespondencja świadczy, z jakim wielkim zainteresowaniem czytano dzieje Tiorkina, ile impulsów, inwencji, rad i pomysłów dostarczył autorowi szeregowy czytelnik - żołnierz.

W maju 1945 r. Twardowski opublikował zakończenie poematu, ale żołnierze chcą widzieć postać Tiorkina dalej w pracy pokojowej w kołchozie, na fabryce, przy wielkich budowlach komunizmu. „Takie listy — wyznaje Twardowski — otrzymuję do tej chwili, niekiedy zaadresowane są nie do mnie, lecz do wydawnictw i Związku Pisarzy, to jest do tych organizacji, które, zdaniem czytelników, powinny wpłynąć na mnie, że tak powiem, w drodze nacisku społecznego".

Wydaje mi się, że „casus Tiorkin" jest typowy dla literatury powstającej w warunkach ustroju socjalistycznego, gdzie pisarz wychodzi z ludu, uczy się od ludu i współpracuje z ludem nawet na szczeblu „zawodowstwa". Wkład ludu w dzieło indywidualne pisarza staje się dobroczynnym ziarnem, z którego wyrasta bujniejszy plon. Przypominają się słowa Gorkiego, wypowiedziane na zjeździe pisarzy w r. 1943: „Jeszcze raz towarzysze, zwracam uwagę na fakt, że najgłębsze i najbardziej jaskrawe, doskonałe pod względem artystycznym typy bohaterów stworzył folklor, ustna twórczość ludu pracującego".

Czy wypadek z Twardowskim jest odosobniony? Bynajmniej. Czynny udział pisarza w powstawaniu nowego życia, znajomość charakterów przodujących ludzi stalinowskiej epoki (kołchoźników, stachanowców, racjonalizatorów itp.) wzbogaca związki literatury z rzeczywistością. Doświadczenia przekazane twórcy przez lud wołają często o nowy typ, rodzaj literatury. Tu współautorami są i zwykły człowiek i artysta. Ta współzależność stwarza nowe formy literatury (LITIERATURNAJA ZAPIS!), godne poznania szczególnie przez nas.

Grzegorz Timofiejew

TADEUSZ ALEKSANDER JASIŃSKI

Notatki z wsi pomorskiej

ROWEREM pożyczonym z Gminnej Rady Narodowej Inowrocław Wschód, jechałem przez Olszewice do Słońska.

Olszewice przed reformą rolną stanowiły własność obszarnika Eberleina. Na czarnoziemiach olszewickich gospodarzą obecnie byli fornale, byli wyrobnicy i małorolni ze słońskich piasków. Olszewice i Słońsko stanowią dziś jedną gromadę.

Za wsią spotkałem gromadkę olszewickich chłopców i jedną dziewczynkę — zdążających do szkoły w Słońsku. Na moje „dzień dobry" odpowiedzieli prawie chórem.

— Kogo z was podwieźć rowerem, co?

Gromadka ożywiła się. Poszturchano się trochę, poszeptano i wypchnięto naprzód dziewczynkę. Mała **Barczakówna** — tak nazywała się dziewczynka — była bardzo rozmowna i doskonale zorientowana w miejscowych stosunkach młodzieżowych. Dowiedziałem się od niej, że Koło ZMP pracowało kiedyś dobrze ale za mało interesowało się miejscowym ZHP, a Barczakówna jest harcerką. Zespół świetlicowy wystawiał w swojej i sąsiednich wsiach sztuki teatralnej (podobno wypracowane dobrze i grane z talentem) i koło ZMP zostało w lipcu wyróżnione, bo wiceprzewodniczącego, kolegę Michalaka Walentego wybrano jako delegata na Zlot Młodych Bojowników o Pokój w Berlinie.

— A jak pracuje u was nauczyciel?

— Nauczyciel? A jaki? Bo u nas teraz 4-ch.

— A przed wojną?

— Tata mówił, że było tylko 2-ch, bo była tylko szkoła 4-ro klasowa, a teraz 7-mio klasowa. Kierownik Ostrowski i jego żona są bardzo dobrzy dla nas i dużo się od nich uczymy. Nauczyciele Rosiński i Sułek są tak samo dobrzy dla nas. Sułek nawet pochodzi z sąsiedniej wsi Parchanie, ale my go uważamy za „swojaka" bo to tak jakby ze Słońska pochodził... A zresztą u nas we wsi mówią, że nasi nauczyciele — to wszyscy „swojacy". Ale... ale najważniejszego to pan nie wie! U nas jest telefon i...

— No powiedz, że mała gaduło i co jeszcze?

— Radio! I głośniki w klasach, chociaż jeszcze nie ma elektryczności. Ale też będzie, bo tata powiadał, że w partii i Samopomocy już o tym mówili! To by dopiero było! Wtedy by pewnie radio było w każdej chałupie, a może i kino by do nas przyjeżdżało: bo dotąd jeszcze nigdy u nas nie było. Pewnie się boją naszych piachów!

Piaski w Słońsku są rzeczywiście wielkie. Jeżeli jednak my we dwoje mogliśmy rowerem dojechać prawie przed samą szkołę — kino objazdowe mogłoby tam również dojechać i przestać omijać tę wieś.

Takich wsi, od których kino, „Artos" oraz inni krzewiciele i twórcy kultury odżegnują się jak od „zadżumionych" jest wiele. „Trudny dojazd? — pytają chłopi słońscy — my chętnie wyślemy konie po aparaturę lub po artystów do Inowrocławia. Chciejcie tylko do nas przyjechać!"

Instytut Spraw Społecznych przeprowadził w 1934 r. ankietę w 50-ciu wsiach, w różnych częściach Polski. Między innymi również w Słońsku.

Porównajmy dane z r. 1934 ze stanem obecnym:

	1934 r.	1951 r.
1) Liczba gospodarstw	97	115
2) Ogólna powierzchnia gosp.	820,4 ha	1029
3) Przeciętna ziemi przypadająca na jedno gospodarstwo	8,5 ha	9 ha
4) Ilość rodzin	154	142
5) Liczba rodzin bezrolnych z tego	57	27
a) wyrobników	36	5
b) drobnych przedsiębiorców	7	0
c) robotników pracujących poza rolnictwem	1	16
d) dożywotników	8	3
e) prac. umysłowych	2	2 (i 2-ch nie stanowiących odrębnej rodziny).
f) innych	3	1
6) Liczba mieszkańców	782	735

O czym mówią powyższe zestawienia?

Mówią nam one, że przybyło 18 gospodarstw z reformy rolnej dokonanej w Olszewicach i że przez to wzrosła powierzchnia gospodarstw o 203,5 ha Nie mówią nam jednak, że ponad 20 tutejszych małorolnych otrzymało nadziały ziemi w innych wsiach, w Balinach i Edwinowie. Ziemia ta nie została wliczona do ogólnej masy ziemi gromady Słońsko. Po wliczeniu jej przeciętna ziemi przypadająca na jedno gospodarstwo będzie większa i przekroczy 10 ha. Czy to znaczy, że Słońsko stało się wsią o dużym udziale w ziemi gospodarstw kułackich? Nie. Tylko dwa gospodarstwa w warunkach Słońska są kułackie, pozostałe średniorolne z niedużym udziałem małorolnych Warto na marginesie zaznaczyć, że ziemie po byłych obszarnikach są dobre — zalicza się je do I, II i III kategorii — podczas gdy słońskie piachy do IV-tej. Trzydzieści rodzin bezrolnych odpłynęło do miast do przemysłu. Pozostałe 27 rodzin bezrolnych, również przeszło do prac nierolniczych. (przy utrzymaniu na razie dawnego miejsca zamieszkania). Źródłem ich zarobków stała się praca w fabrykach inowrocławskich, w pobliskich gorzelniach i na kolei oraz w terenowych organach władzy ludowej Tam znalazło również zatrudnienie ponad 30 małorolnych chłopek i chłopów żyjących na gospodarstwach w Słońsku, a stanowiących niegdyś, jak to cynicznie nazywała sanacja „zbędne ręce do pracy".

Znamienne zmiany mamy tu również na odcinku szkolnictwa.

Do 1939 roku ani jeden chłopiec i dziewczyna nie ukończyli w Słonsku więcej jak 4 klasy szkoły powszechnej. O 7-mej nie mogło być nawet mowy.

Obecnie z świadectwem ukończenia 7-mej klasy opuszcza szkołę corocznie ok. 15 dzieci. Młodzież ta kształci się dalej. W tym roku na 13 kończących szkołę, 9 zapisało się do szkół średnich. W pobliskim Technikum w Mątwach uczą się Smoleń Jan (7 ha), Kaźmierczak (7 ha) i Woźniak Kazimierz (10 ha), w średniej szkole technicznej we Wrocławiu uczą się: Kazimierz Pakulski (4 ha) i Kołucki Kazimierz (bezrolny).

W Gimnazjum i Liceum Elektrotechnicznym we Wrocławiu uczy się syn małorolnego sołtysa Michalaka — Jerzy, uczy się również syn Stanisław, a jego córka Alicja w Inowrocławskim Liceum Pedagogicznym. W tym samym liceum uczy się córka wysiedlonego w 1934 roku z Francji, a po tym okresie stale bezrobotnego (obecnie 6 ha), wspomnianego już Wylandowskiego — Krystyna. Fabiszakówna Zofia (bezrolna) chodzi do jednej ze szkół średnich. Również „jeżdżą" do szkół: Nalewańska Zofia (7,5 ha), Jaworska Krystyna (bezrolna), Nowakowska Elżbieta (7 ha) i inni. Tyle młodzieży poszło do szkół średnich w ostatnich 2-ch latach szkolnych. Poza tym wiele młodzieży uczęszczało na kursy, jak: Michalak Walenty (kurs samochodowy) Fabiszakówna Henryka (kurs pielęgniarek) Wódniakówna Stefania (kurs ekspedientek) i tp.

Nauka młodzieży i jej przygotowanie do zawodów jest również nowe na wsi pomorskiej.

— Wiele się u nas zmieniło, stwierdza sołtys Michalak. Niby wieś ta sama, nawet ludzie wydawałoby się ci sami — a jednak wszystko jest inne. Mam 9 dzieci, a jak sami widzicie, na zagłodzonych na tym 5-cio hektarowym gospodarstwie nie wyglądamy — rozesmiał się. — Zresztą rozmawialiście z ludźmi i chodziliście po gospodarstwach. Nie potrzeba Wam o tym mówić.

Rzeczywiście można było usłyszeć wiele porównań. Dzisiaj wszyscy, prócz jednego upartego konserwatysty, sieją siewnikami, które sobie kupili juz po wojnie. Pomocy udziela również POM.

„Dawniej o nawozach sztucznych nikt nawet nie chciał słyszeć. Wypali — mówili — i nic z tego nie będzie. A teraz? Ile nam tylko spółdzielnia dostarczy, wszystkie wykupimy i wysiejemy" mówią prezes ZSL Palicki i Pawłowski, sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej PZPR w Olszewicach.

„Pieniądze ludzie mają — mówi przewodnicząca Koła Gospodyń Wiejskich i członkini miejscowego komitetu sklepowego w spółdzielni— Wodniakowa, ale GS traktuje naszą miejscową spółdzielnię po macoszemu. A przecież chciałyby się nasze kobiety ubrać, a dziewczęta może by miały lepsze powodzenie, bo u nas kryzys na mężczyzn. Wszyscy rozprószyli się po całej Polsce. A jak już taki „ptaszek" wyfrunie z gniazda, to stracony. Woli wziąć sobie przodownicę za żonę!"

Nowy sposób gospodarowania i nawozy sztuczne powiększyły plony z hektara, powiększyły dochody wsi. Poważnie do wzrostu zamożności wsi przyczyniła się nie tylko reforma rolna ale również pełne zatrudnienie członków rodzin, z których wielu pracuje w przemyśle, a zaopatruje się w miejscowych sklepach. Ubywają zbędne ręce w gospodarstwie, a dopływają do niego zarobki pracującego poza rolnictwem. Z tym muszą się liczyć GS-y.

Obecnie Słońsko posiada już 111 macior. 216 świń ponad 10 tygodni, ponad 200 sztuk krów, 90 jałowic, 3 byki i ponad 90 cieląt do pół roku. W ub. roku urodzaje były bardzo dobre. Takie, jakich dotąd nie było na słońskicsh piaskach. Bo nigdy dotąd nie było tutaj tyle maszyn rolniczych, nie wysiano tyle nawozów sztucznych. Żyto — zbieraliśmy 16,3 q z ha. Ziemniaków zbieraliśmy — 170 q z ha, lnu (siemię i słoma) 12,5 q. itd. W tym roku (posucha!) plony były nieco niższe.

„Ja mam ziemię z reformy rolnej na Olszewicach — mówi ob. Wylandowski. U nas też zbiory w tym roku zmniejszyły się, ale nie dało się to tak mocno odczuć. Żyta zbieraliśmy 24 q, a teraz 20 q, pszenicy 26 q, a teraz tylko 19 q, ziemniaków 110 q itd.

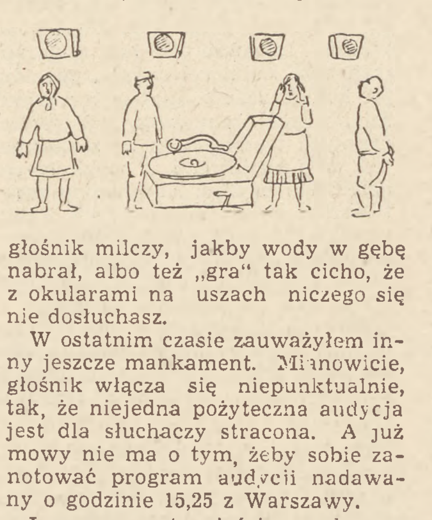
Jednak z wszystkich obowiązków wobec państwa się wywiążemy. Nieco trudniej będzie z ziemniakami, ale w odstawach zboża, to może nawet przekroczymy plan".

Tadeusz Aleksander Jasiński

Gazetka gminna

A muzyczka tirli, tirli...

Nasz powiat jest w dużym stopniu zradiofonizowany, co się chwali. Ale radiowęzeł w Kępnie ma jakieś osobliwe nawyki i „widzimisia", czego się nie chwali. „Nawala", jak się to pospolicie dzisiaj mówi i pisze. Różnie z tym „nawalaniem" bywa. Albo



głośnik milczy, jakby wody w gębę nabrał, albo też „gra" tak cicho, że z okularami na uszach niczego się nie dosłuchasz.

W ostatnim czasie zauważyłem inny jeszcze mankament. Mianowicie, głośnik włącza się niepunktualnie, tak, że niejedna pożyteczna audycja jest dla słuchaczy stracona. A już mowy nie ma o tym, żeby sobie zanotować program audycji nadawany o godzinie 15,25 z Warszawy.

Inna sprawa to właściwe wykorzystanie przerwy popołudniowej, kiedy Warszawa w programie I milczy. Z przerwy tej radiowęzeł w Kępnie albo wcale nie korzysta, albo też lekceważy sobie słuchaczy przez nadawanie „lokalnej" muzyczki, o czym za chwilę. Od czasu do czasu podaje się do publicznej wiadomości komunikaty o lokalnym charakterze, niekiedy jakąś pogadankę, ale o życiu powiatu ani słowa. A my, proszę radiowęzła chcemy wiedzieć czym powiat żyje, jak przebiega np. akcja skupu zboża, o czym radziła na sesji Powiatowa Rada Narodowa, chcemy usłyszeć o naszych przodownikach i o tych, co załamują plany gospodarcze itp. Toż to przecież nie tylko informacja, ale i akcja wychowawcza i mobilizująca. Powiecie, że coś tam w tej „materii" robiliście. Zgoda! Ale, do ciężkiej „fali", tego jeszcze za mało, bo my ludzie wsi głodni jesteśmy nowin jak mało kto

A może Szanowny Radiowęzeł sądzi, że nadawanie płyt tego rodzaju jak „Kochać nie warto" zastąpi nam to wszystko? Lubię muzykę, ale nie tego typu. Oddajcie wasze stare, ograne płyciska do lamusa. My pragniemy muzyki zdrowej, krzepiącej ducha, takiej, która mówi o realizacji Planu 6-letniego, o pokoju i wielu innych pięknych sprawach.

Weź sobie te uwagi do serca Szanowny Radiowęźle w Kępnie i popraw się. Poświęć więcej czasu i troski sprawom naszego powiatu, chwal co dobre i potępiaj to, co złe. Na słuchanie audycji w gatunku „A muzyczka tirli, tirli"... nie mamy doprawdy czasu ani ochoty.

Jacek Wąchała

Obraza boska

Przylatuje do mnie chłopak od sołtysa i powiada, że przed ich chałupą auto PSS-u stoi i ludziom różne towary po cenach rządowych sprzedaje. Wzięłam więc trochę grosza za pazuchę i w te dyrdy do sołtysa. Tam już parę bab stoi i różności ogląda. Oglądam i ja, aż tu mnie ktoś w bok trąca. Patrzę — Michałkowa, żona sklepikarza z naszej wsi! I na głos pyskuje, że to niby wielki wstyd i obraza boska tak w niedzielę handlować, bo na to jest cały tydzień człowiekowi dany.

— Wam może dany — odpaliłam z miejsca — ale pracujący chłopi bez cały tydzień, abo w polu abo przy innej robocie i tylko w te jednę niedzielę ociupinę więcej czasu mają. Nie pyskować, lecz cieszyć się trzeba, że Rząd na takie odległe wioski jak nasza benzyny nie żałuje i auta z towarami posyła. Bo w ten sposób różnych spekulantów, co na chłopie tylko żerować by chcieli, po kieszeni mocno uderza.



A ona na mnie, jakby ją giez ukąsił:

— Ptysiowa tak powiada, bo syna ma w partii, to i sama za nimi trzyma! A nie wie to Ptysiowa, że kto w niedzielę kupuje lub sprzedaje, ten niemały grzech popełnia? I duszę na zatracenie naraża?

Wtedym dłużej już nie strzymała i jak nie rąbnę jej prosto z mostu:

— Jeżeli tak to wasz stary w piekle na wiórek zesmażyć się winien, bo od dwudziestu lat w każdą niedzielę wódkę od tyłu sprzedaje i chłopów tak rozpija, że z tego tylko wstyd i dla wsi zgorszenie.

No i poszła jak zmyta, ale ja proszę Redakcji mam już taką naturę, że jak mnie kto zaczepi, to tak łatwo mu nie przepuszczę. Więcem jej jeszcze wygarnęła na odchodne:

— Michalkowa! Lećcie, ino aby nóg nie połamcie! A żółć to wam bezto dokucza, że handel wam psują, co?

A potem poszłam kupować, a za mną kobity. A jak żeśmy kupiły każda co potrza, tośmy uradziły, żeby ten sojusz z robotnikami jakoś okazać. Oni do nas z towarami, a której chłop jeszcze zboża Państwu nie sprzedał, to na skup co rychlej ziarna zawiezie.

Katarzyna Ptysiowa

Wieczór autorski z suflerem

Do naszej gromady Gągolewo w pow. piotrkowskim przybył z wieczorem autorskim jeden z pisarzy. Miał wypełnioną po brzegi świetlicę, gorące oklaski, łzy wzruszenia, kaskady śmiechu i czego byście tylko nie zechcieli. I w tej to właśnie familijnej atmosferze nasz pisarz „rozkleił się", zatracił czujność, zapomniał, że walka klasowa to nie wytwór jego powieści. I patrzcie co się teraz dzieje.

Wzrokiem, rozjaśnionym zadowoleniem, pisarz obejmuje świetlicę i otwiera dyskusję nad odczytanym utworem. Następuje tradycyjna przy takich okazjach chwila wzajemnego potrącania się łokciami i pochrząkiwania, jakoś nikt nie śmie zabierać głosu przed innymi. Autor dodaje odwagi pierwszym rzędom siedzących chłopów i wcale nie dostrzega, że z końca sali podniósł się już barczysty, czerwony na twarzy pan Kwiatkowski — bogacz na 27 hektarach żyznej ziemi.

— Ja w te „fidrygałki" wcale nie wierzę. — Owszem, nie powiem — ciągnął dalej pan Kwiatkowski — niektóre z tych „fidrygałek" nawet ładne, zwłaszcza te o jesieni i o wiośnie — ale reszta nieprawdziwa. Nikt we mnie, gospodarza, nie będzie wmawiał, że dawniej było mniej nawozów sztucznych, niż dzisiaj. Na składzie u hurtownika pana Jarzębskiego w Piotrkowie, można było dostać ich przed wojną tyle — ile tylko dusza zapragnęła.

Spojrzałem na pisarza — przestał się już uśmiechać, nerwowo przerzucał kartki swojej powieści. Korzystając z momentu, że ktoś drugi zaczął mówić, trącił mnie w ramię i wyszeptał.

— Sołtysie, kompromitacja, wieczór pogrzebany — nie mam przy sobie konkretnych danych, aby odpowiedzieć Kwiatkowskiemu...

Kiedym to usłyszał, aż mnie w dołku zemdliło. Tutaj kułak godzi w sojusz robotniczo - chłopski, podważa spójnię ekonomiczną robotnika i chłopa, a nasz pisarz, jak żołnierz bez



karabinu — „konkretne dane" zostawił na biurku w domu. Co robić? Wziąłem do ręki ołówek, natężyłem pamięć i zacząłem stawiać cyfry na marginesie którejś ze stronic jego powieści.

„Przy porównaniu cen płodów rolnych i nawozów sztucznych z roku 1937 — 38 z cenami dzisiejszymi — pisałem — otrzymamy następujące dane:

za jeden kwintal pszenicy mógł chłop kupić w latach 1938 — 39 azotniaku — 85 kg, dzisiaj — 180; superfosfatu 120 — dzisiaj 300 kg; soli potasowej 160 kg — dzisiaj 300 kg;

za jeden kwintal żyta mógł chłop nabyć dawniej: azotniaku 70 kg — dzisiaj 120 kg; superfosfatu 90 kg, dzisiaj 205 kg; soli potasowej 125 kg dzisiaj 205;

Za 10 kwintali ziemniaków można było kupić przed wojną: azotniaku 130 kg — dzisiaj 380; superfosfatu 180 — dzisiaj 630 kg; soli potasowej 250 kg — dzisiaj 630 kg.

Postawiłem kropkę i podsunąłem kartkę pisarzowi, ten wpatrzył się uważnie w moje niezgrabne pismo. Za chwilę wstał i wygłosił krótkie przemówienie, w którym wyczerpująco wyjaśnił, co było główną przyczyną, że magazyny Jarzębskiego w Piotrkowie były za sanacji zawalone nawozami sztucznymi, a dzisiaj, pomimo kilkakrotnego wzrostu produkcji, nigdy ich nie jest za wiele.

Wieczór autorski się udał — walka z kułakiem, została wygrana.

Notuję to zdarzenie ku rozwadze naszych pisarzy i agitatorów. Bo nie zawsze i nie wszędzie na wieczorze autorskim znajdzie sią sufler - ekonomista...

Wojciech Smuła

Dopóki jest wróg



Jakżem był na kursie szkoleniowym naszego ZSL-u to mi między innymi powiedzieli tak: dopóki jest wróg, jest i walka. I to się sprawdziło w czasie moich korespondenckich wypraw w Szczecińskie, chociaż przewodniczący GRN w Ognicy ob. Markowski był innego zdania. Uważał, że wróg klasowy może się dobrowolnie rozbroić, a tymczasem on się tak rozbroił wobec GRN jak Amerykany i Angliki wobec ONZ.

— Szczęsny to wzór polskiego chłopa - obywatela — mówił na zebraniu ob Markowski. A Szczęsny spłacił podatki, sprzedał zboże i kartofle na wyścigi tylko z... jednego gospodarstwa. Drugie — 7 ha ma w Sadzku. „Wzorowym rolnikiem" był w tych stronach do niedawna również niejaki Walerczak z Sicka. Także układny, lojalny, wszystko ponad plan posprzedawał, chwalił naszą ludową gospodarkę. Nawet mu się nie dziwię, nikt mu hektarów nie policzył. Ob. Markowski też go publicznie chwalił. No, a ten urządził się tak, że jego zarejestrowane 7 ha produkowały dla państwa a 10 nierejestrowanych tuczyło spekulanta. Jednemu i drugiemu odkryli karty biedniacy, bardzo w tych stronach czujni: Charłowicz, Wyroślak, Klimowicz i Bramberg. A ob. Markowski pierwszy raz otrzymał 100% głosów na zebraniu rady, bo wszyscy radni głosowali za jego usunięciem.

Ruszaj zawsze głową kolego korespondencie, nie daj sobie wetknąć fałszywych kart. I pamiętaj o tym, co mówili na szkoleniu — nikt z placu boju klasowego bez walki nie odchodzi. A walczy na wszystkie sposoby, udaje nawet „patriotę".

Piotr Pigwa

Jeżeli tak dużo — to dlaczego tak mało?

Ogólne zebranie wszystkich członków partii z terenu gm. Jastrzębie w lipnowskim powiecie mogłoby być jednocześnie szkołą dla aktywu. Zebranie to miało na celu „wyspowiadanie się" jak każdy z członków partii spełnił swój obowiązek względem państwa, aby się nie wstydził jako partyjny przed bezpartyjnym. Czy podatki uregulował, czy Narodową Pożyczkę Rozwoju Sił Polski spłaca, ile sprzedał państwu w planowym skupie zboża i ziemniaków. Było źle i było dobrze, ale jakoś było, dopóki nie przyszła kolej na towarzyszy z gromady Maliszewo. Ci towarzysze złożyli najpiękniejsze sprawozdanie. Dali państwu ponad swoje plany takie ilości ziarna jak 3 q, 5 q, 7 q i nawet 13 q. Ładnie, prawda, gdyby nie jedno ale. Kto się nie orientował, bił im brawo za ich niezmordowaną pracę i wskazywał jako wzór. Ale ktoś z zebranych „nie w ciemie bity" ostudził entuzjazm dla towarzyszy z Maliszewa.

— To bardzo pięknie z waszej strony towarzysze z Maliszewa — powiedział — żeście nie tylko wasz plan wykonali ale że go nawet przekroczyliście. Niestety, fakty mówią, że właśnie wy w Maliszewie najserdeczniej drzemiecie i plan waszej gromady został wykonany do dziś w najniższym procencie. To nie dosyć, że członek partii sam obowiązek spełni, ale winien pracować nad tym, aby jego gromada uczyniła to samo, a jak jest naprawdę na Maliszewie? Gdy cała gmina wykonała plan już w 74%, wasza gromada wykonała dopiero w 56%. Gdzież zatem wasza partyjna praca dla wykonania planu?

Władysław Grawicz

Zawiadamiamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od m-ca września br. urzędy pocztowe, oraz listonosze wiejscy i miejscy przyjmować będą wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy dalsze.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul Wiejska nr 12, tel 7 52-50. Adres redakcji: Warszawa, ul Starynkiewicza nr 7
Prenumerata i kolportaż: P P K „Ruch". Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel 804-20 do 25
Tel Red. Nacz 727-86 Tel Redakcji 751 80 dod wewnętrzny 91, 63
REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH RĘKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 3,— zł; kwartalnie 9,—; półrocznie 18,— zł; rocznie 36,— zł.
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I-6942/110 z zaznaczeniem „za tyg „Wieś".
RSW „PRASA", Warszawa, Marszałkowska 3/5 2-B-45722

IRENA MAZURKIEWICZ

ZA MARNOTRAWSTWO, BRAK DOGLĄDU

W ośrodku rolnym, w Niespodzianem,
Nieroby rządzą, sobiepany.
Kabzę kumowi kum nabija,
Z kumem interes kum opija,
Cały aparat kierowniczy
Wódkę popija lub zysk liczy,
Gdy taki dogląd i kontrola,
Pozarastały chwastem pola,
Prośną maciorę „żarciem" struto,
(Bo ją karmiono stęchłą śrutą).
Pole marchwiane dziki zryły
Koniska dwa się ochwaciły —
Nic się nie wiedzie, nic nie darzy
U takich „dbałych" gospodarzy.
Pora na żniwa i omłoty
A tu brak ludzi do roboty!
Bo każdy sobie
Rzepkę skrobie,
Lub sprząta z pólka kum kumowi.
Niechże kierownik się tam głowi:
Może ekipa robotnicza
Może wojskowa — z Chmielotycza,
Może Z. M. P. dopomoże? —
„Jakoś" się przecie zbierze zboże.
Kiedy wypadło zboże młócić
Nuż się ośrodek z SOM-em kłócić.
Ośrodek — że za długo czeka
S. O. M. — że ośrodek z młócką
zwleka.
I maszyn teraz nie dostanie,
Gdyż S. O. M. ma inne młócki
w planie.
Już jest po orkach i wykopkach,
A zboże wciąż w ośrodku
w snopkach.
Ośrodek zamiast być na przedzie,
W ogonie, na skup z ziarnem jedzie.
Ziemniaki jeszcze wciąż na kupie,
Ani im „marzy się" o skupie.
A przez to właśnie gdzieś
krochmalnia
Normalnej pracy tempo zwalnia,
Gdy przemysłowy ziemniak gnije.
Nie wstyd, nieroby, wódkopije?!

*

Niechaj przypomną
w Niespodzianem
Przysłowie: Jak to jest ze dzbanem!
Trrrach! — właśnie ucho się urwało
I — usunięto klikę całą.
Odpowie zarząd wobec sądu —
Za marnotrawstwo, brak doglądu.

KARIERA OBIBOKA

Mówi do żony sołtys Obibok:
„Wnet tu przywiozą wódkę i piwo.
Zróbże mi luzu trochę w komorze,
To se butelki w kącie ułożę.
Jutro rozgłoszę po okolicy,
Że potańcówka będzie w świetlicy.
Zysk da nam bufet... Za te pieniążki
Kupimy radio, gry, albo książki.
Za tydzień ma być to tańcowanie
A u sołtysa co dzień zebranie.
Nad czym tak radzą? — co to za
sprawy? —
Wciąż się omawia program zabawy.
Obibokowa przy Obiboku —
Ma Obiboka ciągle na oku,
Bo na nią coraz Obibok mruga i
Zjawia się flaszka jedna... i druga...
Ten „stawia" wódkę, ten chce znów
piwa.
Szparko z komory flaszek ubywa...
Lecz się opowieść nie kończy na tym:
Program zabawy nie był bogaty.
Za to w bufecie!... (relacja krótka)
Wódka i piwo... piwo i wódka...
Obibokowa za ladą stała.
Teraz znów ona co raz mrugała...
„Dalejże stary, ruszaj się żywo!
Otwórz wiśniówkę! Podaj tu piwo!"
Kładli ludziska gęsto pieniążki —
Niech będzie radio! Niech będą
książki!
(Gorzko ktoś duma przy wódce
słodkiej:
Czy cel uświęca i „takie" środki?)
Jeszcze opowieść się nie urywa:
Obibok — dochód z wódki i piwa
Zgarnął, jak - to się mówi do miecha,
Rankiem do miasta chyżo pojechał.
Pewnie po radio? Po książki
pewnie? —
Pomarzył sobie ten i ów rzewnie.
Ale — Obibok powraca z miasta:
Krowi się ogon za wozem szasta.
Ba, dwa, nie jeden! — Bo
z potańcówki
Dochód na krowę starczył,
z przychówkiem
Gwałt się w gromadzie zrobił
okropny.
Lecz do słów mocnych sołtys
pochopny.
Zagroził, że wnet wszystkich
„usadzi".
Że da „po nosie" całej gromadzie.
Więc... się w gromadzie zrobiła cisza.
Lecz — korespondent pismo napisał
Aktyw rzecz całą do gruntu zbadał
Że sklep Obibok kiedyś posiadał,
Że zdrowo z chłopów skórę w nim
łu[illegible]
Drogo sprzedawał, co tanio kup[illegible].
Że mu się nieźle sklep ten „rozwi[illegible]
Bo w nim pokątnie ludzi rozpijał
Potem się puścił na szersze wod[illegible]
Został handlarzem bydła i trzody,
A gdy mu „nie szło" w nowym
us[illegible]
Zaniechał handlu i świniobiciu.
A — że był czwanym Obibok lisem
Udało mu się zostać sołtysem.
Mając zaś dawne sztuczki w pam[illegible]
Znowu chciał motać, łgać, kraść
i kr[illegible]

*

Obibok boków już nie obija.
Nie kradnie. Chłopów już nie ro[illegible]
Na nosie nie gra także gromadzie.
W obozie pracy sam się „usadził".

IRENA MAZURKIEWICZ